Wydawnictwa rok VI
Dnia 8 grudnia 1928 r.

Nr. 275

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

WALKA NADMIERNYCH AMBICYJ MIERNYCH CHARAKTERÓW Z WŁADCZĄ INDYWIDUALNOŚCIĄ

NIEDYSKRECJE:

„GŁOS PRAWDY LITERACKI"

Redakcja: Warszawa, ulica Szpitalna 1, telefon 282-54.

NIEDYSKRECJE

PRZYKRY ZGRZYT W STOSUNKACH WŁOSKO - FRANCUSKICH powstał w związku z wyrokiem sądu przysięgłych departamentu Sekwany, który skazał mordercę hrabiego Nardiniego, di Modugna tylko na dwa lata więzienia. Jeśli zrozumiałe jest oburzenie włoskiej prasy faszystowskiej, twierdzącej, iż po podobnym wyroku życie faszystów we Francji nie jest dostatecznie zagwarantowane, to bezsensownemi są ataki na rząd francuski, który wszak — nie należy zapominać, że wyrok wydany został w wolnej, demokratycznej republice, — żadnej ingerencji do ferowania wyroków sądowych nie ma i mieć nie może. Państwa, kultywujące dyktaturę, nie mogą też w tym wypadku służyć Francji przykładem. Z tradycji już Francja udziela gościnnego schroniska emigrantom politycznym wszystkich krajów i zapatrywań, czy to będą włoscy socjaliści, rosyjscy monarchiści, hiszpańscy anarchiści, czy też turecka, perska lub czarnogórska dynastje. Nikt też nie może zmusić obywatela francuskiego, tego, który w charakterze przysięgłego wydaje wyroki, aby zabójstwo na tle politycznem stawiał narówni ze zwykłem morderstwem. Dziwnym się przeto wydaje atak na Francję prasy włoskiej, która wszak doskonale wiedzieć powinna, że pomyślna przyszłość Włoch i Francji leży tylko w zgodnem i przyjacielskiem pożyciu obu krajów łacińskich.

* * *

WYBORY PREZYDENTA REPUBLIKI AUSTRJACKIEJ wytworzyły dziwną zmianę w ustosunkowaniu sił politycznych. Obecny prezydent dr. Hainisch wybierany był na naczelne stanowisko w kraju dwukrotnie, konstytucja zaś austrjacka zabrania kandydowania po raz trzeci. Gdy jednak doszło do wystawienia nowej kandydatury, okazało się, iż niema w republice takiej osobistości, neutralnej i nadpartyjnej, którаby mogła liczyć na głosy partyj rządowych i opozycji socjalistycznej. Aczkolwiek bowiem t. zw. blok burżuazyjny: chrześcijańsko - społecznych, Landbundu wiejskiego i wszechniemieckiej partji posiada większość w parlamencie, to jednak nie jest ona tak znaczną, aby stworzyć przy wyborach prezydenta wymaganą przez konstytucję większość kwalifikowaną. Wysunięta zaś przez partję chrześcijańsko-społeczną kandydatura przezesa Rady Narodowej (Nationalratu) dr. Miklasa nie mogła liczyć na poparcie socjalistów. Gdy zaproponowane przez kanclerza ks. Seipla prowizoryczne przedłużenie okresu urzędowania obecnego prezydenta o rok lub dwa (w którym to czasie rząd zamierzał przeprowadzić zmianę konstytucji w kierunku wzmocnienia władzy prezydenta), spotkało się ze sprzeciwem opozycji, nie zależało już więcej kanclerzowi na pozostawieniu przy władzy dr. Hainischa. Wolał, aby fotel prezydenta objął bardziej mu oddany i posiadający określone zabarwienie polityczne dr. Miklas. Wówczas socjaliści wysunęli kandydaturę dr. Hainischa, chociaż nigdy nie należeli do wielkich zwolenników prezydenta. Wytworzyła się więc w Austrji groteskowa sytuacja: socjaliści dążą do zmiany konstytucji, któraby umożliwiła ponowny obiór prezydenta, wybranego w swoim czasie na wniosek partyj burżuazyjnych; chrześcijańsko - społeczni, którzy dawniej uważali Hainischa za „swego człowieka", odwracają się odeń, desygnując Miklasa. Wszechniemcy zaś i Landbud, jak słychać, gotowiby byli jednak głosować za Hainischem, obawiają się bowiem wzrostu wpływów księdza Seipla. Mimo to w ostatniej chwili zgodzili się oddać głosy na dr. Miklasa, który też wobec wstrzymania się od głosu socjalistów, został prezydentem Austrji.

* * *

„AMERYKA NIE JEST ANI MILITARYSTYCZNA, ANI IMPERJALISTYCZNA", głosi prezydent Coolidge w swem ostatniem orędziu do Kongresu, mówiąc o równowadze pokojowej, jaką daje światu pakt Kelloga. Jednocześnie jednak zastrzega się, iż pakt, stanowiący uroczyste oświadczenie przeciwwojenne i zawierający zobowiązanie narodów suwerennych do utrzymywania pokoju, nie umniejsza bynajmniej przysługującego każdemu krajowi prawa, a nawet obowiązku obrony swych granic. Obszerne te wywody prezydenta stanowić mają most logiczny pomiędzy tak rozbieżnemi poczynaniami, jak pakt Kelloga, usuwający raz na zawsze starcie zbrojne, jako sposób załatwiania konfliktów międzynarodowych, oraz — jak wzmożone zbrojenia morskie Stanów Zjednoczonych, na które przyszły budżet Unji Północno - Amerykańskiej przeznacza pół miliarda dolarów. Jeśli więc sami autorzy i twórcy paktu Kelloga — amerykanie — nie wierzą w jego żywotność i skuteczność, jeśli zbroją się pomimo, iż ojczyzna ich jest jednem z najpotężniejszych i przeto najmniej obawiającem się ataku nieprzyjacielskiego państw świata, — czyż możemy uwierzyć w „nowe objawienie Kelloga" my, zwykli śmiertelnicy, na których oczach cała Europa pławiła się w ogniu i krwi przez długie 4 lata wojny światowej? Niewielu chyba łudziło się, iż pakt Kelloga usunie widmo wojny, jednakże orędzie prezydenta Coolidge'a, w którem prezydent między innemi zwraca się do Senatu z prośbą o ratyfikację paktu, rozwiać musiało najmniejsze wątpliwości, stwierdzając bez żadnych osłonek, iż mimo zawarcia paktu przez wszystkie niemal kraje świata, nic w polityce międzynarodowej nie zmieniło się.

* * *

HOOVER W PODRÓŻY PROPAGANDOWEJ do Południowej Ameryki rozwija tymczasem ideę „Panameryki", której ostatnim wyrazem był tegoroczny kongres w Havanie. Nawołując „młodsze siostry Północno - Amerykańskiej republiki" do współpracy na terenie umocnienia pokoju i zacieśnienia więzów gospodarczych pod osłoną doktryny Monroe'go, prezydencjalny elekt odbywa trjumfalny pochód z kraju do kraju, ze stolicy do stolicy, owacyjnie witany przez ludność Środkowo - Amerykańskich republik. Czy „panamerykańska" podróż przyszłego prezydenta stanowić będzie nawrót w stosunkach między Stanami Zjednoczonemi, a temi republikami Południowej i Środkowej Ameryki, które cichem przywództwem Meksyku jaknajostrzej przeciwstawili się Unji Północnej? Sądząc z ostatniego oświadczenia Hoovera w Guatemali, że współczesna demokracja jest przeciwniczką imperjalizmu, przypuszczać należy, iż zastosuje podczas swych rządów nowy system względem słabych republik amerykańskich i że dotychczasowa polityka Stanów w Meksyku, Nikaragui i Hondurasie ulegnie zasadniczej zmianie.

WALKA NADMIERNYCH AMBICYJ MIERNYCH CHARAKTERÓW Z WŁADCZĄ INDYWIDUALNOŚCIĄ

Z rozważań na marginesie walki bezdusznego legalizmu z postępem.

By należycie ocenić i zrozumieć charakter sprzeciwów i niechęci ze strony władających parlamentem i jego prawem sztabów politycznych stronnictw, z któremi spotyka się na linji swej pracy władcza indywidualność, zjawiająca się u władzy z programem reform norm prawnych i zwyczajowych życia państwa,— koniecznem jest zdać sobie sprawę z nader naturalnego lecz wielce ważkiego faktu, a mianowicie, że demokratyczna zasada ludowładztwa, w praktyce życia, została skurczona do wytworzenia stałego pośrednictwa między władzą państwową, uosabiającą swym charakterem i pracą to państwo wobec obywateli, a obywatelami, w swoich potrzebach, aspiracjach i uczuciach — zdanymi w mniejszym lub większym stopniu — na rzetelność i rozum wybranych przez siebie reprezentantów-pośredników. Pośrednikiem tym jest oczywiście poseł, zbiorowym — parlament. Obok parlamentu należy niewątpliwie postawić prasę, lecz jest to temat specjalny i włączać go w tej chwili do naszych uwag nie będziemy. Stoimy zatem przy posłach i parlamencie.

Cokolwiekby się mówiło o władzy parlamentu, o takich lub innych jego prawnych kompetencjach, największa jego władza tkwi właśnie w tym fakcie, że jest on pośrednikiem między żywem wyobrażeniem państwa w osobach jego najwyższych kierowników a obywatelami, że pośrednictwo to ma sankcję prawa. Z tego też punktu widzenia, sposób wybierania posłów i kwestja umierzenia ich odpowiedzialności, a także organizacja wewnętrzna parlamentu — są sprawami najwyższego znaczenia dla państwa i obywateli, skazanych na usługi tego pośrednika i przeto nie przestaje ona być ciągle aktualną we wszystkich państwach i społeczeństwach demokratycznych.

Z punktu widzenia interesów demokracji ideałem byłoby, gdyby poseł nie był związany niczem innem, jak wolą swoich mandatarjuszy, mandat zawdzięczał tylko ich zaufaniu do swoich prac i walorów osobistych, był odpowiedzialny tylko przed nimi i mógł być przez nich w każdej chwili — w drodze prawidłowo wyrażonej mu nieufności — odwoływany. Wszelako tak nigdzie nie jest. Do walki o mandaty poselskie stają partje polityczne i one desygnują swoich kandydatów. Zatem zjawia się zależność posła od swojej centrali partyjnej, wobec której obowiązuje go karność, jeśli chodzi o spełnianie roli pośrednika ze strony państwa wobec obywateli i odwrotnie, obywateli wobec państwa. Karność oświetlania działalności rządu wobec wyborców i głosowań, oraz wystąpień w parlamencie. Uczciwość pośrednictwa została zatem już bardzo silnie skażona przez zjawienie się obok inteersów państwa i obywateli interesów trzeciego: partji politycznej. Dziecko chyba tylko może uwierzyć dzisiaj, że ten trzeci interes pokrywa się w każdej chwili i bez reszty z dwoma pierwszemi.

W państwach o wysokim stopniu kultury politycznej, stosuje się często obronę przeciw niebezpieczeństwu posunięcia się zbyt daleko takiego skażenia uczciwości pośrednictwa, pod dw ma postaciami: jednomandatowych okręgów wyborczych, zmuszających partje konkurujące o mandaty do selekcji swoich kandydatów na posłów in plus i kandydatów do istotnej pracy nad pozyskaniem i utrzymaniem zaufania wyborców, oraz rozwiązywania parlamentów jeśli skłócenie wewnętrzne w nim samym rodzi wątpliwości o bezpieczeństwo i spokój pracy państwowej. Niewątpliwie, obydwa te środki, mimo wszystkiego co możnaby powiedzieć na ich niekorzyść, przeciwdziałają skutecznie niebezpieczeństwu przerostu interesów partyjnych ponad interesy kraju i z tego punktu widzenia są one nieocenionym piorunochronem dla demokracji i parlamentaryzmu. Ten fakt, że w ostatnich wyborach we Francji partja socjalistyczna straciła jeden mandat i to właśnie mandat szefa partji Bluma, jest w najwyższym stopniu znamienny. W ten sposób bowiem wyborcy powiedzieli Blumowi: być może jesteś pan doskonałym szefem partji, ale cóż nas to obchodzi. Żądamy byś pan był dobrym naszym reprezentantem. A jeśli pan niema, przy swoich rozlicznych zajęciach, dla nas czasu, — dziękujemy, nie przeszkadzamy, ale wybieramy sobie innego posła. — Niewątpliwie Blum nie zapomni tej nauki i będzie bardzo starannie pracował nad odzyskaniem szans na mandat przy następnych wyborach.

U nas wszystkie piorunochrony zostały zdjęte z dachu parlamentaryzmu. Pierwszy sejm odrzucił odrazu obydwie klapy bezpieczeństwa: jednomandatowe okręgi wyborcze i możność rozwiązania go przez Głowę Państwa. Ordynacja wyborcza, odbierając wyborcom możność wpływania na wysuwanie kandydatów do mandatów, — zdjęła sztabom partyjnym z głowy kłopot o rywalizację in plus w doborze swojej reprezentacji parlamentarnej, a posłom kłopot uczciwego reprezentowania interesów i pragnień wyborców i informowania ich o stanie i pracy państwa. Odpowiedzialność posła została całkowicie i bez reszty umieszczona w centrali jego partji, stał się on jej, a nie swoich wyborców narzędziem. Szef partji decyduje o woli wyborców. Poseł, który idąc zbyt daleko po linji lojalności do jego rozkazów, popada w silny konflikt ze swoimi wyborcami, może liczyć na to, że albo przy następnych wyborach zostanie postawiony w innym okręgu, lub też dostanie mandat z listy państwowej Szafarzem jego mandatu jest bowiem całkowicie ten nowoczesny możnowładca — według trafnego określenia Ogińskiego — szef partji. Niemożliwy byłby u nas wypadek Bluma. Szef partji i jego satelici, jeśli tylko rozporządzają aparatem agitacyjnym i są dostatecznie wyćwiczeni w sztuce demagogji, mają zawsze zapewnione mandaty, właśnie z owej iście skandalicznej listy państwowej.

W ten sposób zostały uchylone wszystkie środki obrony jakiej takiej uczciwości pośrednictwa. Parlament stał się zbiorowiskiem miernot, dobieranych przez szefów partyj, według stopnia pewności w bez-

apelacyjnem słuchaniu ich rozkazów. Przy niskiej kulturze politycznej nastąpiło szybko rozejście się sejmu z wyborcami, przyszedł przerost interesów nieodpowiedzialnych partyj nad interesami kraju i krach, na szczęście w dość jeszcze łagodnej formie, pozostawiającej przed parlamentem otwartą drogę do zdrowia.

Nie można powiedzieć, by czas pozostawiony partjom na uzdrowienie parlamentaryzmu był przez nie wykorzystywany dla tego celu. Przeciwnie, przeciwko Piłsudskiemu, który tę drogę otworzył i daje czas na jej przebycie, podnosi się z tej strony ciągle niechęć i poprostu żal, że to uczynił. Leader lewicowej opozycji p. Barlicki powiada wprost, że „byłoby mu przyjemniej" gdyby Piłsudski nie był wystąpił ze swoją akcją ratunkową dla opanowanego już przemożnie przez gangrenę organizmu państwowego i demokracji, a leader prawicowej opozycji p. Trąmpczyński „probuje" już rękę nowego Niewiadomskiego, przekonując swoich przyjaciół, iż z podsłuchów pod drzwiami gabinetu Piłsudskiego wie o strasznych jego względem pośladków p. Zdziechowskiego zamysłach.

Wspólnym taranem tych obojga opozycyj, którym pragnęłyby one skruszyć fundamenty władzy Piłsudskiego, leżące w zaufaniu szerokich mas społecznych jest legalizm, czyli t. zw. pompatycznie — praworządność. Każde pojęcie jest wartością względną, zależną od znaczenia i sytuacji z jakiem i w jakiej jest ono stosowane. Legalizm N. D. w okresie niewoli był bronią przeciw naszym interesom narodowym. Jej rewolucyjność w wolnej Polsce, w grudniu 1922, była jeszcze gorszą zbrodnią narodową, wieczystem piętnem hańby. Obóz niepodległościowy był rewolucyjny w niewoli i legalistyczny w odrodzonej Ojczyźnie i to był stosunek do zjawisk prawidłowy i twórczy.

Legalizm i praworządność muszą być oczywiście podstawami działania w państwie własnem. Lecz by tak mogło być, prawo musi być mądre i pożyteczne. A jeśli tak nie jest?

Wówczas przychodzi nieszczęście, ku któremu szliśmy, lub zjawia się reformator, jakim jest Piłsudski i zadaniem obywateli konieczność reform rozumiejących jest pomagać mu w miarę sił, co też czynimy. Lecz ostatecznie nie dziwmy się, że muszą istnieć tarcia między reformatorem i tymi, którzy złe dla kraju lecz wygodne dla siebie prawo ustanowili! Ono to właśnie, to złe prawo będzie teraz dla nich wspaniałym okopem walki z reformatorem, w imię praworządności przez ich złe prawo ustanowionej, w imię legalizmu wobec ich nadużytej władzy i naciągniętych ponad wszelką rozumną miarę — interesów.

Legalizm i praworządność były zawsze okopami walki reakcji z każdym postępem, który łamiąc złe, szedł ku zdrowemu, twórczemu prawu i nowej, na nim opartej praworządności. Owa nieszczęsna praworządność była i jest zawsze nadużywana dla obrony najbardziej przyziemnych, egoistycznych interesów; straż — we wszystkich walkach politycznych i społecznych — prywatnych.

W rzeczy samej niejakie podstawy ku takiemu nadużywaniu pojęć praworządności i legalizmu stwarza sam duch kollektywizmu demokratycznego i jego dążenie do stwarzania pewnych szablonowych ramek prawnych dla ludzi i zjawisk. Jest to konieczne z tem wszakże, że musi być pozostawiona pewna swoboda korygowania ich przez indywidualność ludzką. Formuła prawna jest bowiem kaftanem na przeciętną miarę. Jeden prezes ministrów, ubrany w kaftan formuły prawnej, określającej jego władzę, jest zażenowany jego obszernością, wreszcie plącze się w nim i traci zupełnie swobodę rąk i siedzi bezczynny. Na innym kaftan trzeszczy wzdłuż szwów, pęka — z pod jego pancerza ukazuje się żywy człowiek.

Dyplomacja watykańska, która nie bez słuszności uważana jest za rozumną i wysoce doświadczoną, zagadnienia kaftana dla każdego nowego papieża, rozwiązała w sposób symboliczny zgoła inaczej, niż to robi i zresztą musi robić demokracja. Jak wiadomo, kardynał obrany papieżem, musi natychmiast po wyborze ukazać się na balkonie watykańskim pragnącym powitać go tłumom rzymskim. Lecz musi już wystąpić w szalach papieskich. Tedy rozumny mistrz ceremonji trzyma w pogotowiu sutannę papieską dla elekta, lecz nie jedną a trzy, miar różnych. W ten sposób nowy papież zabezpieczony jest przed śmiesznością, na jaką mógłby się narazić, ukazując się w szacie jaskrawo niedopasowanej do jego osoby.

Oczywiście nie podobna przystosowywać formuł prawnych do indywidualności poszczególnych szefów rządów czy mężów stanu. Lecz tylko mierne charaktery o nadmiernych ambicjach, a tem samem i namiętnościach, mogą podnosić gwałt w imię rzekomo obrażonej praworządności, gdy indywidualność tak wielka jak Piłsudskiego nie mieści się w kaftanie szytym na przeciętną miarę i rozszerza zakres swej pracy, podstawy swego oparcia i głębię perspektywy przyszłości, która wpływa na plan jego działania. O cóż tu wreszcie chodzi? O Polskę czy o sławę, że noszony przez Piłsudskiego kaftan formuły prawnej stanie się później zbyt obszerny dla miernot, które drżą z pożądania, by się weń ubrać?

Obawiamy się, że owe krzyki o praworządność podszyte są tchórzostwem i zwykłą zawiścią. Bo nie było ich gdy było źle. Gdy groziła katastrofa gospodarcza i klęski polityczne i zamęt głęboki w kraju. Zjawiły się zaś, gdy jest spokój. Gdy według wyobrażenia ludzi płytkich objęcie władzy nie przedstawia żadnego większego ryzyka a przeciwnie, liczne obiecuje korzyści.

I oto jesteśmy u samego dna sprawy. U prywaty i egoizmu, które pomieszane z nieporadnością i brakiem uzdolnień i odwagi do działania — wyładowują się w patetycznej deklamacji o prawie, przez nie właśnie skażonem.

Lecz jest to krzyk, który nie sięga wyżyn historji, pozbawiony wszelkiej siły wpływania na dzieje. Jeśli więc ktoś ma ambicję wyładować swe życie i ujawnić całą swą zdolność w krzyku bezsensownym — niechaj krzyczy. Tylko niechaj nas nie przekonywuje, że spełnia w ten sposób jakąś misję społeczną lub polityczną, że czegoś broni lub coś zwal-

cza. Oszałamia tylko sam siebie, a dla ludzi cierpiących na bezpłodność mózgu i woli oszołomienie jest podobno stanem arcyrozkosznym. Tacy nawet podobno czasami zażywają morfinę lub kokainę. Oczywiście że lepiej, by się oszałamiali narkotykiem tak nieszkodliwym jak krzyk.

W. Stpiczyński

PEPINJERA MONARCHIZMU i MILITARYZMU W NIEMCZECH

Czytelnika, którego wzrok coraz w pismach codziennych napotyka mniej lub bardziej egzotyczne nazwy organizacyj militarystycznych niemieckich, zainteresują może dane, dotyczące największej w Rzeszy organizacji cywilno-wojskowej, istniejącej już od 1 stycznia 1900 roku, jako centrala wszystkich wogóle luźnych związków wojskowych w państwie niemieckiem.

„Deutscher Reichskriegerbund Kyffhäauser" — bo tak się ta pepinjera monarchizmu i militaryzmu niemieckiego nazywa — powstał więc, w myśl statutów, aprobowanych w swoim czasie przez b. cesarza Wilhelma II, celem pielęgnowania w społeczeństwie tradycyj wojskowo-monarchistycznych. Od daty swego powstania też organizacja owa jest zbiornikiem, gromadzącym wszystkich wojskowych w stanie spoczynku a jednocześnie i tych jednostek z pośród społeczeństwa cywilnego, które dążą przedewszystkiem do wyrastania w obrębie państwa i poza jego granicami idei militarno-monarchistycznych ponad wszystkie inne.

Cele, w ten sposób określone w momencie powstawania „Reichskriegerbund'u" z biegiem czasu nie podlegały żadnym zupełnie zmianom; działalność jednak i jej metody zmieniły się nieco w związku z wojną a następnie skutkiem zmian w ustroju państwowym. Tak więc, gdy interesujące nas organizacje zasilały stale przed wojną coraz to nowe a regularne dopływy rezerwistów o jednolitem obliczu wojskowo-politycznem, — już wkrótce po wybuchu wojny rozszerzono statuty „związku wojskowych Rzeszy" — i to rozszerzono je za aprobatą cesarską w kierunku politycznym—godząc się na przyjmowanie socjal-demokratów w poczet członków. Mimo to, rozszerzenie jednak ram organizacji napływ nowych adherentów wskutek przegranej wojny, upadku idei monarchistycznych i powstania ustroju republikańskiego, jest nikły. W ruchu organizacyjnym następuje moment rozstroju, a w związku z tem organizacja sama traci pozornie znaczenie swe w ogólnym ruchu państwowotwórczym. Tłumaczy się to nowym systemem konstrukcyjnym siły zbrojnej, zamykającym stały dopływ rezerw wojskowych do „Kriegerbund'u", jak i powstaniem całego szeregu nowych zrzeszeń cywilno-wojskowych, wchłaniających wszystkie bez reszty siły wykształcone i myślące wojskowo. Z całego chaosu takich właśnie zrzeszeń, jakie powstały pod wpływem partyjnych zmagań się w obrębie Rzeszy, wyłoniło się kilka znaczniejszych organizacyj, jak np. „Stahlhelm", Wehrwolf", „Jungdeutscher Orden" oraz „vereinigte vaterländische Verbände", które, po przejściu rozlicznych ewolucyj przyjęły podobny do „Reichskriegerbund'u", acz bardziej skrajny program.

„Związek wojskowych Rzeszy" trzymał się od owego powojennego ruchu organizacyjnego na uboczu. Początkowo zdawało się nawet, że znaczenie tej organizacji spadło do zera, co uśpiło najzupełniej czujność państw sojuszniczych, aprobujących dalsze istnienie „Reichskriegerbund'u". Dopiero przewodniczący tej organizacji, nieżyjący już dziś generał w stanie spoczynku von Heeringen i obecny—generał w stanie spoczynku von Horn umieli przywrócić jej dawną powagę, wynikającą ze ścisłego przestrzegania wszystkich tradycyj i tajemnic wojskowych oraz obliczonej na daleką metę ideologji.

W chwili obecnej „Reichskriegerbund", dzielący się na 25 grup krajowych (Landeskriegerverbände) z podziałem dalszym na okręgi prowincjonalne i rejencyjne, a wreszcie na grupy powiatowe i lokalne, liczy zgórą 3 miljony członków. Tem samem organizacja ta uważana jest za najsilniejszą z pośród cywilno-wojskowych. Należą do niej — dodajmy—wszystkie związki byłych wojskowych, „Militär und Kriegervereine" (t. zw. „Ehemalige Angehörige der Infanterie, Kavallerie" i t. d.), związki patrjotyczno-prawicowe, a wreszcie wysłużeni starsi członkowie organizacji faszystowskiej (Wehrvereine).

Od lat 4 mniej więcej ta pepinjera militaryzmu i monarchizmu staje się coraz bardziej czynną, a wiedząc dobrze, czem najłatwiej jednać sobie zwolenników, rozciąga przedewszystkiem finansową opiekę nad żołnierzem-inwalidą, czy wprost poszkodowanym przez wojnę. Z jej inicjatywy więc władze rozszerzają i uzupełniają ustawę o zaopatrzeniu byłych wojskowych, podwyższają renty, tworzą pomoc lekarską i wychowują sieroty po żołnierzach w zakładach fachowych. Bierze w tem wszystkiem czynny udział „Reichskriegerbund", tworząc oddziały t. zw. „poszkodowanych przez wojnę" i „pozostałych wskutek wojny poza krajem", które organizacyjnie należą do grup krajowych, dzieląc się również na pododdziały prowincjonalne, powiatowe i lokalne. Oddziały te liczą obecnie około 4.000 członków, otrzymujących około 30 — 40.000 marek miesięcznych zapomóg.

Ostatnio wreszcie „Reichskriegerbund" zwrócił baczniejszą uwagę na przeszkolenie i doszkolenie wojskowe swych członków, utworzywszy w tym celu nowe oddziały przysposobienia wojskowego t. zw. „Jugendgruppen" i „alte-Herren-Gruppen". Niezależnie od tego „związek wojskowych Rzeszy" pielęgnuje pieczołowicie w swem łonie t. zw. „sport broni małokalibrowej", wiedząc wybornie, że broń ta, pozornie czysto sportowa, a więc nie mogąca budzić żadnych podejrzeń zagranicą — może być każdej chwili zastąpiona bronią o normalnym kalibrze.

„Reichskriegerbund" wreszcie wydaje własny organ prasowy „Kyffhäuser", obejmujący trzy zasadnicze działy: 1) pielęgnowania tradycyj wojskowych;

2) apotezy monarchizmu i 3) ideologji odwetowej, — co — dodajmy — ściśle odpowiada statutom, potwierdzonym swego czasu przez cesarza Wilhelma.

•

Rzuciliśmy tu garść suchych faktów, wstrzymując się umyślnie od podkreślania i komentowania wpływów „związku wojskowych Rzeszy" na masy społeczeństwa niemieckiego. Jesteśmy zdania, iż czytelnik sam sobie o nich powinien urobić opinję, biorąc pod uwagę, że 3 miljony czynnych członków Związku stanowi około 5% ogółu ludności Rzeszy, a nadto że związek sam, posiadający statuty, zatwierdzone przez samego cesarza, cieszy się potężnym autorytetem w państwie.

J. Różyc

ZAMIŁOWANIE SEJMU DO AUSTRJACKICH DOKTORATÓW, TO KPINY Z NAUKI

Z powodu niemądrej uchwały sejmowej.

Szanowny Panie Redaktorze! Dzienniki podały do wiadomości, że Sejm uchwalił w drugiem czytaniu przedłużyć możność uzyskania stopnia doktora według starych przepisów do 31/6-1932 roku, a Głos Prawdy ogłosił dosłowny tekst przemówienia p. ministra Świtalskiego, który sprzeciwiając się przedłużeniu terminu, zaznaczył, że stanowisko komisji jest wynikiem starań u posłów delegacji akademików, reprezentującej jednakże znikomą tylko część młodzieży akademickiej, której ogół dzięki niezorganizowaniu się na czas nie bierze w tej sprawie z własną krzywdą żadnego udziału. Jestem pierwszym na uniwersytecie lwowskim na wydziale prawa doktorem „polskim" (nowego typu) i jako taki, pragnę w kwestji przedłużenia starego systemu doktoratu powiedzieć kilka słów.

Gdy w jesieni 1920 roku zapisywaliśmy się na wydział prawa na uniwersytecie lwowskim na podstawie nowych przepisów wprowadzonych ustawą polską z 13/7-1920, przyjęliśmy z uczuciem wielkiej ulgi wprowadzenie nowego systemu uzyskania stopnia doktora, wszyscy bez zastrzeżeń a więc i kolega S. O. i K. D., którzy stanowili delegację, o której mówił p. minister Świtalski w swojem przemówieniu.

I nic dziwnego. Austrjacki system uzyskania stopnia doktora na wydziale prawa stanowił c. k. unikat w całym świecie, gdziekolwiek istniał jakiś uniwersytet i był szczytem c. k. idjotyzmu.

Jak wiadomo doktorem prawa zostawało się w Austrji nie na podstawie pracy naukowej, zapoznania się chociażby, jeżeli nie opanowania metody pracy naukowej, ale tylko na podstawie powtórzenia trzech egzaminów ustnych, wymaganych do ukończenia wydziału prawa. W rezultacie tego mądrego systemu stało się zwyczajem, że egzamin i powtórkę czyli rygorozum zdawano w jednym lub najwięcej w dwóch dniach. Popołudniu egzamin, nazajutrz rano rygorozum. Nazywało się to, że do rygozum trzeba być lepiej przygotowanym, ale w rzeczywistości wystarczało tak przy egzaminie jak i przy rygorozum znać (aby dokładnie) skrypta wykładu z danego przedmiotu a raczej mówiąc zupełnie już szczerze... skrót tego skryptu, wydany przez... prywatne, intratne przedsiębiorstwo. Byli i tacy, którzy zadowolali się przerobieniem najczęściej powtarzanych pytań przy rygorozach. Skutkiem tego każdy niemal prawnik w Austrji był doktorem.

Byli i są doktorzy, którzy np. sprzedają w małem miasteczku cebulę lub herbatę i są doktorami prawa. Jeden zachód egzamin i rygorozum. Następstwem tego nadmiaru doktorów prawa przy takim systemie uzyskiwania tego stopnia była utrata wszelkiego znaczenia tego stopnia w opinji publicznej. Doktór prawa był często figurą w operetce. Koła rządzące w Austrji zaczęły na serjo przemyśliwać nad rewizją skandalicznego systemu, ale przyszła wojna i znane wypadki. Dlatego jak wyżej powiedziałem wszyscy z ulgą przyjęliśmy wprowadzony ustawą polską system państw cywilizowanych, chociaż dobrze zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że znacznie trudniej będzie w przyszłości uzyskać zaszczytny stopień naukowy.

Niesłusznie łączy się system uzyskania doktoratu prawa z warunkiem uzyskania praw adwokackich. Może być bowiem europejski system uzyskania stopnia doktora prawa w danem państwie a równocześnie może być doktorat warunkiem uzyskania praw adwokackich. Przyczyni się to tylko do pogłębienia studjów fachowych u przyszłych adwokatów, podniesie ich powagę moralną a jest to koniecznem w państwach, w których jak w naszem jest nadmiar adwokatów. Wprowadzająca ogólnoeuropejski system uzyskania stopnia doktora praw, nasza ustawa z 1920 roku pozwoliła tym studentom, którzy rozpoczęli studja przed nami, pierwszym „rocznikom" prawników polskich t. j. przed jesienią 1920 roku składać wszelkie egzaminy, a więc i rygoroza doktorskie według dawniejszych przepisów, ale tylko do 15/9-1926 roku. My młodzi prawnicy uważaliśmy ten przepis ustawy w zasadzie za słuszny, wydawał się nam tylko czasokres ulgowy stanowczo za długi. Sześć lat! Dla tego, kto już rozpoczął studja? Ależ wystarczyłyby doskonale trzy lata, jeżeli rzecz brać ściśle. No, ale wyjątkowe warunki powojenne, a w końcu ustawa. Nie całkiem słuszna, ale ustawa. Przepadło.

Zdawaliśmy egzaminy roczne, jeden po drugim i zaczęliśmy myśleć o doktoracie. Nowość bawi serca polskie, zwłaszcza gdy są młode. (Bajeczka o ogniu słomianym). Z przyjemnością braliśmy tematy prac t. j. rozpraw doktorskich. Kolega Staś O. (ten z delegacji) wziął sobie modny temat o reformie rolnej, kolega Kazio D. (też z delegacji) wziął też temat. Zajmujące tematy, dużo pożyczonych z bibljotek książek ale siedzieć nad tem wszystkiem — jakże jest nudno. Przytem ci nudni, przesadni zawsze w wymaganiach profesorowie. Zaczęło się więc zmienianie tematów. Były modne rozwody. Wzięło się więc temat z kwestji prawa rozwodowego w Polsce. Rzecz ciekawa i aktualna. Gdy się jednak nieco zagłębimy czy przyjrzymy tym niezliczonym przepisom i interpretacji tych przepisów, jakże to jest nudne... Wszakże żyje się tylko raz, młodość jest krótka, nie powinna więc być zbyt przeciążona pracą naukową.

Gdy więc w r. 1926 studenci starego systemu, i ci którzy, przed nami rozpoczęli studja prawnicze i skła-

dali egzaminy systemem austrjackim, czynili starania o przedłużenie im możności zdawania egzaminów do końca 1928 roku systemem austrjackim. Ruchliwy kolega Staś O. pobudził kolegów do akcji, zawiązał u siebie w mieszkaniu komitet, zwołał wiec, pojechał z delegacją do Warszawy i znowelizował ustawę. Sejm pozwolił ustawą z 23,7-1926 roku tym studentom nowego typu, którzy uzyskali tytuł magistra uzyskać tytuł doktora według starego, austrjackiego systemu. Niema uzasadnienia tego przepisu. Rozpoczęliśmy studja według nowych polskich przepisów, uzyskaliśmy według tych przepisów stopień magistra a stopień doktora możemy uzyskać według przepisów austrjackich. Jeżeli przedłożono studentom starego systemu czasokres na dwa lata, to przecież dlatego, że oni *rozpoczęli* studja prawnicze na zasadzie przepisów austrjackich. Zdali już pewne egzaminy według tych przepisów, ale my, którzy zaczęliśmy studja na zasadzie polskich przepisów? Kolega Staś O. znowelizował ustawę sejmową. Ile z tego powodu było śmiechu we Lwowie, i to w samym obozie komitetu i w samym komitecie, można sobie wyobrazić. Przyznawano zaś ogólnie, że jest to konsekwencja rządów parlamentarnych w Polsce.

Sejm *dał dwa lata i pół roku* czasu na złożenie magistrom trzech rygorozów austrjackich.

Jest powszechną tajemnicą, że złożenie trzech rygorozów *z postępem bardzo dobrym* wymaga po sześć miesięcy czasu na rygorozum, popołudniowej, pobiurowej pracy. Są tacy, którzy to zrobili w krótszym czasie, ale tych pomijam, aby dać obraz najbardziej bezstronny. Ci koledzy, którzy wzięli udział w akcji kolegi Stasia O. i serjo chcieli skorzystać z ulgi przyznanej przez Sejm, dawno już uzyskali stopień doktora praw na podstawie złożonych trzech rygorozów austrjackich. Wymienię tu tylko jednego dla przykładu, kolegę St. Moszkowicza, a który taksamo jak my wszyscy pracował zawodowo i uzyskał stopień doktora przed rokiem. Pracował zawodowo, choć warunki materjalne pozwalały mu na utrzymanie się z rozpoczęciem pracy zawodowej aż do uzyskania doktoratu. Ale co więcej. W tym okresie 2 i pół roku złożyli trzy rygoroza austrjackie koledzy, którzy rok i dwa lata później od nas rozpoczęli studja prawnicze. Jakie były następstwa przedłużenia przez Sejm do końca roku 1928 starego systemu austrjackiego? Kto tylko mógł zdawał rygorza. Ludzie niejednokrotnie bez poważniejszego wykształcenia ogólnego, bez inteligencji gwałtem pchali się do rygorozów, by uzyskać czasokres ulgowy. Konsekwencją tego było zaostrzenie wymagań ze strony profesorów na uniwersytecie lwowskim. Ale i to nie pomogło. Cały szereg ludzi uciekł według już ogólnie przyjętego zresztą zwyczaju do Krakowa. Tam niema Grabskiego do ekonomji, Makarewicza do karnego, Pinińskiego do rzymskiego i t. d. Kraków też wypuścił falangę uciekinierów lwowskich jako doktorów prawa.

Gdym 13-go listopada 1928 r. spostrzegł na galerji sejmowej kolegów Stasia O. i Kazia D. śmiać mi się chciało.

Już od dawna utrwaliło się we Lwowie zdanie, że ci, którzy wydali nowelę do ustawy sejmowej, sami z niej nie umieli i nie chcieli skorzystać. Wygrali więc profesorowie... Zdanie to powtarzali nawet delegaci...

— Przyjechaliście tu z wycieczką? — zagadnąłem ich.

— My w delegacji w sprawie studjów — odpowiedział mi na to Kazio D.

— Czy to możliwe? — zapytałem.

— To drobnostka, mamy już dwa rygoroza, chodzi więc o to, by Sejm pozwolił nam zdać trzecie. Najwyżej przedłużą do końca 1929 roku.

Ipsissima verba.

— Macie widoki? — zapytałem.

— Bardzo dobre, brzmiała odpowiedź.

Delegaci chcieli, by Sejm przedłużył termin do końca 1929 roku najwyżej, Sejm przedłużył do końca czerwca 1932 r.

Czyż nie jest to zabawne. Wniosek Bloku Bezp. obejmował tylko studentów, którzy stracili na czasie przez ochotniczą służbę wojskową. Przepis taki, nie objąłby jednak ani kolegi Stasia O. ani Kazia D. Poseł Dubois tłumaczy studentów pracą państwowo-twórczą i obowiązkami rodzinnemi. Swego czasu czy raczej w normalnych stosunkach takie tłumaczenie byłoby nie do pomyślenia. Ani kolega S. O. ani K. O. nie brali udziału w pracy państwowo-twórczej. A jeżeli inni brali to czyż to ma być dla nich usprawiedliwieniem? Od tego frazesu do demoralizacji młodzieży akademickiej jest jeden krok. Albo raczej niema go już nawet. A obowiązki rodzinne? Co za niebywały dotychczas w Polsce, a wszędzie za jej granicami zawsze, — argument! Np. taki projekt ustawy na tem tle: student który chodził na wykłady, spłodził w legalnem stadle 5 dzieci może być zwolniony przy egzaminach od pewnych przedmiotów...

Poseł Dubois ma lat dwadzieścia siedem. Zapomina jednak, że trzeba się kierować i sercem i rozumem. Niech mnie nikt nie posądzi, że chcę tu występować przeciw P. P. S. Kolega Staś O. stwierdzi, że wspólnie często jeszcze na czasów rządów „narodowych" mówiliśmy o P. P. S. jako o partji, której skład osobisty najbardziej nam się podobał. Ale poseł Dubois winien był uwzględnić motywy rad wydziałowych uniwersytetów a zwłaszcza lwowskiego, winien był więcej mieć zaufania do profesorów prawa uniwersytetu lwowskiego, wśród których są tacy gorący przyjaciele młodzieży jak prof. Przemysław Dąbkowski.

Komisja sejmowa tłumaczy się uwzględnieniem trudnych warunków gospodarczych w ubiegłych latach 1927 i 1928. Czy warunki te zmienią się stanowczo na lepsze w lipcu 1932 roku? Czy można to przewidzieć? Czy to było zresztą powodem rzeczywistym niezłożenia do końca 1928 roku rygorozów przez niektórych studentów? A iluż z nich zdało już dawno wszystkie rygoorza, chociaż ciężko pracowało na chleb?

Nie chcę wyciągać okrutnych konsekwencyj dla kolegów Stasia O. i Kazia D. z tego przedstawienia. Ale na Boga, jeżeli oni chcieli przedłużenia tylko do końca 1929 roku najwyżej, dlaczegoż Sejm uchwala jeszcze trzy lata dłużej?! Koledzy Staś O. i Kazio D. mają duże poczucie słuszności i, zmartwieni będą srodze jeżeli Sejm tak przesadnie wysłucha i uwzględni ich życzenia. Im też zależy na podwyższeniu powagi godności prawnika i adwokata w Polsce.

Dziś mówi się we Lwowie, że każdy piąty młody człowiek w tem mieście to doktór prawa. Czyż Sejm chce, by mówiono, że co drugi człowiek? Nadmiar doktorów, nadmiar ukończonych prawników jest dzisiaj poważną troską państwową i społeczną. Biedzą się nad

tem profesorowie, rady adwokackie. Czy Sejm chce ten smutny stan jeszcze pogorszyć? Wreszcie argumentum ad hominem: czy we Lwowie znów wszyscy mają się śmiać z tego, że kolega Staś O. i Kazio D. znowelizowali po raz drugi i to tę samą ustawę? Czy opinja społeczna ma powiedzieć, że Sejm poniża godność nauki w Polsce, a posłowie poniżają godność i powagę sejmu? Czy posłowie pomyśleli nad tem, jakie konsekwencje będzie miała ostatnia nowela w stosunku profesorów do studentów na uniwersytetach? Oby zwyciężyła słuszność przynajmniej w trzeciem czytaniu.

Proszę przyjąć wyrazy wysokiego szacunku

dr. Stanisław Piotrowski

Wszystkie pisma, w tem i „Robotnika", proszę o przedruk.

PRAWDA O STAREM MIEŚCIE

Poniżej zamieszczamy opinję jednego z ludzi najbardziej u nas powołanych do zabierania głosu w sprawie polichromji na rynku Staromiejskim. Oto, co pisze autor: „Motywów architektury Polskiej", a ostatnio „Teki Gdańskiej".

Dotychczas był śmietnik, który się nazywał Starem Miastem, powstało na to miejsce dzieło sztuki i to, śmiech powiedzieć, za tak niską cenę, że wytynkowanie wymalowanie olejne na jeden kolor przez przedsiębiorców, 50 kamienic, kosztowałoby znacznie więcej, niż wydał p. Ostrowski na zrobienie ze „Starówki" dzieła sztuki.

Bądźmy szczerzy. Stare Miasto przedtem była to nie bardzo stara dzielnica warszawska. Starszego nic więcej Warszawa nie miała. Między nami mówiąc, Stare Miasto, ani się umywa chociażby do Małego Rynku w Krakowie. Wartość hipoteczna starych ruder podniosła się o kilkaset procent a cudzoziemcy dębieją i otwierają gęby ze zdumienia.

Założyłem się z p. St. Ostrowskim o 100 zł., że w słusznej zapłacie za swoją inicjatywę i robotę zostanie przez kolegów, biorących udział w tej imprezie, obity. Nie dostał wprawdzie dotychczas namacalnie niemniej uważam, żem zakład wygrał, bo jednak za to, co zrobił, szkalować chłopa, opowiadać, że ponaciągał kolegów, że nie wypłacił robotnikom i t. d., to stokroć gorsze, niż obicie.

Nie bójcie się, artyści. Nietylko wypłaci, ureguluje wszystko, bo pieniądze na to być muszą i będą, ale jeszcze wy, zamiast wyklinać będziecie mu wdzięczni, że was wyprowadził na ulicę i otwierał dla was świeże, nieznane u nas dziedziny, malowania całych miast.

Bo, nie wątpię, że i sama Warszawa nie poprzestanie tylko na Starem Mieście. Są przecież jeszcze i całe ulice w tej dzielnicy nietknięte, a wołające wprost o polichromję w całości lub częściowo. Za stolicą pójdą inne miasta, jak Zamość, Lublin etc., no i serce Polski, stary Kraków.

Przechodzę do krytyki rzeczowej. Pierwszeństwo kobiecie. P. Stryjeńska, jedyna z całego grona artystów, nie przelękła się architektury i problemu Starego Miasta i z właściwym sobie tupetem i bezwzględnością stworzyła bajkę, poprostu zaczarowany domek Baby Jagi. Mniej udane są inne jej domy. Wszystkie jednak mają jej charakterystyczne piętno i wstyd wam, mężczyźni, ona jedna z was wszystkich jest oryginalna, ma temperament i wyraz.

Ma wprawdzie także swój wyraz Kamil Witkowski, ma i p. Kowarski lecz to już nie są dzieła sztuki, tylko artystycznie malowane kamienice. Jedźmy dalej. Przysiągłem się prawdę mówić, więc rżnę bez względu na konsekwencje. Najlepiej rozwiązane atrystycznie są domy Fukiera i stary Baryczków. I znów p. Ostrowski. Nic na to nie poradzę, ale muszę stwierdzić, że on właśnie najlepiej wyrozumiał, podkreślił i wydobył na wierzch architekturę obu tych domów. W tym drugim wprawdzie jest duży feler, bo trzecie piętro, malowane w łuskę, łączy się z dachem i daje złudzenie pochyłości, pozatem powtarza ten sam motyw łuski i u Fukiera, niemniej w obu tych domach on jedyny z kolegów zrozumiał problem, który się podjął rozwiązać i malowaniem tak podniósł architekturę, że mu się conajmniej do zgonu kredyt u Fukiera patrzy.

Dom pod Murzynkiem, — pierwsza klasa. Stary polski charakter aż bije i niech tam teoretyki mówią co chcą, jest to bardzo rzadki i pysznie odtworzony okaz polskiego malarstwa architektonicznego z XVII wieku. Te, jakoby zlekceważone, fragmenty architektoniczne, pozłocić, a wyjdą na pierwszy plan. Zresztą w tym celu, zdaje się nawet, zostawiono je nietknięte, tylko monety na pozłocenie brakło.

Prześliczny Wedż Wód w kącie, Nr. 24 p. Okunia. Pysznie dostrojone i podnoszące architekturę dwa domy Slendzińskiego. Dwa domy z łukami gotyckiemi, właśnie wydobytemi teraz na wierzch przez artystów a nie przez mądrych teoretyków. Dostrojoną do architektury dyskretną polichromję artysta właśnie w czasie pisania tego artykułu znacznie pogorszył.

Są i kryminały. Wina Ostrowskiego, że nie zagubił kompromitującej daty 1482 na barokowym domu. Posądzam zresztą o ten grzech p. teoretyków. Wina jego, że mu nie starczyło pieniędzy na zrobienie cudu z domu Skargi wraz ze ślicznym gankiem od Kanonji. Wina jego, że Kamilowi Witkowskiemu kazał większą część kamienicy zamalować.

Lecz autentyczny już kryminał, to dom zdobiony farbami pod Nr. 9 — wiedeńska kawiarniana secesja. To trzeba czemprędzej zamalować. Jest i dom pod Nr. 16 motyw — odwrocie rosyjskich kart do gry. Taki kompromitujący krzyk za „tatą". Można i trzeba było lepiej wymalować dom wójta warszawskiego, Nr. 19. Żle jest również wymalowany dom pod Nr. 3. Kiepsko rozwiązano dom Skargi. Szczególnie kompromitujący jest kartuz z popiersiem Skargi, malowany na wypukło. Bardzo mi się niepodoba, dom przy Fukierze z medaljonami.

Drobne te usterki, które zresztą mogą być naprawione w każdej chwili, wytłumaczone są zupełnie, gdy się zważy ogrom wykonanej pracy a nadto, że to pierwsza impreza artystyczna tego rodzaju. W całości wszakże stworzyło się rzecz bez porównania lepszą i ciekawszą niż ma wogóle zagranica.

Chodzi mi o to, żeby czynniki miarodajne, trzeba przyznać, bardzo interesujące się wszelkiemi objawami sztuki plastycznej, wraz z publicznością zrozumiały, co ci klepani protekcyjnie po ramieniu artyści potrafią zrobić przy wspólnym wysiłku.

Niech wiedzą, że to materjał ludzki pierwszej klasy w robocie państwowo - twórczej, że takie małostkowe stawianie kwestji, jak to miało miejsce przy robocie na Starem Mieście, gdy co chwila pieniędzy brakowało na najważniejsze rzeczy, na samą wypłatę robotników, jest wysoce śmieszne, gdyż taka praca artysty podnosi niesłychanie i prestige państwa i dosłownie, wysoko się procentuje. Artyści nie są finansistami lecz twórcami, więc o pieniądze niech się postarają ci pierwsi; artyści dadzą robotę twórczą, która nam wszystkim stokrotnie się opłaci.

Niewątpliwie ludzie głębiej myślący i w rządzie i w municypalności, zdają sobie sprawę dokładnie po tym eksperymencie ze Starem Miastem, że dalsze odnawianie państwa z pomocą artystów nietylko, że jest konieczne, ale przyniesie ojczyźnie nieobliczalne wprost korzyści moralnej i czysto materjalnej natury.

Panowie teoretycy i wszyscy mędrcy narodu, uspokójcie się. Pozszywajcie swoje rozdarte szatki, otrzyjcie krokodyle łzy, które wylewacie nad Starem Miastem. Wiadomo: dlatego, że się was nie pytano o pozwolenie zrobienia rzeczy dobrej. Nie bójcie się. Artyści nie sprofanują starożytnej (?) Warszawy, tylko ją ozdobią i podniosą w cenie.

Na wiadomości teoretyczne i historyczne, artystów stać. Poprzestańcież panowie, na tem, do czego was Pan Bóg stworzył, t. j. na zarejestrowaniu i skatalogowaniu tego, co zrobili Oni. Polemiki o „gotyckiej" Warszawie umyślnie nie wszczynam, aby przykrości poważnym starszym panom nie robić.

Jan Gumowski.

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

ROZKOSZNY SKANDAL

Rozkoszny skandal! Nie można tego inaczej określić: niebywały rozkoszny skandal wydawniczy przydarzył się w ostatnich dniach całemu naszemu „ruchowi" wydawniczemu w Warszawie i w Rzeczypospolitej. Jak wiadomo od dziesięciu lat mniej więcej przygotowuje się wzorowe wydanie Mickiewicza pod egidą samego Sejmu. Koleje tego wydania dość są zmienne, ostatecznie powierzono wydanie wieszcza Kasie Mianowskiego.

Tymczasem parę dni temu wyszły z pod prasy trzy tomy wzorowego wydania A. Mickiewicza pod sumienną, czujną znakomitą redakcją prof. Manfreda Kridla, z przedmową Boya-Żeleńskiego z pięknemi ilustracjami Stefana Mrożewskiego (drzeworyty) nakładem Bibljoteki Arcydzieł Literatury, drukiem J. Burjana w Warszawie.

Trzy tomy pism Mistrza zawarte w dwóch, wydano na bezdrzewnym papierze, oraz na pospolitszym, lecz zawsze jeszcze bardzo poprawnym. Zdawałoby się więc, — w myśl tego, co słyszymy zawsze od naszych wydawców, opowiadających urbi et orbi o niezmiernych ciężarach, jakie ponosić muszą wydając dzieła starych klasycznych mistrzów, — że Bibljoteka Arcydzieł Literatury, przedsiębiorstwo młode, nieznane prawie, ledwie zaczynające, nie operujące, ma się rozumieć ani dawnemi stosunkami ani wielkiemi kredytami, ani szeregiem od lat już zbliżonych do wydawnictwa odbiorców! Zdawałoby się, że tego rodzaju wydawnictwo, — z przedmową Boya-Żeleńskiego, pod redakcją Kridla na tak przywoitym papierze, z rycinami pięknemi, znakomicie zszyte, pięknie oprawione, — powinno, jak na nasze ciężkie czasy, w tych naszych tak ciężkich zaprawdę, (czyż też rzekomo) czasach rynkowo-księgarskich kosztować?

Kosztować, — jak kosztują u nas tego rodzaju wydawnictwa w poczciwej kalkulacji naszych, poświęcających się dla ogółu, oraz dla pamięci dawnej literatury polskiej wydawców.

Otóż — nie. Trzy tomy Mickiewicza, oprawne w dwa na bezdrzewnym papierze, w pięknem płótnie, wydane tak gustownie, że zdobić mogą każdy salon a wytrzymać mogą każdą uczniowską lekturę, czy nawet uczenie się na pamięć z danego egzemplarza kosztują — *osiem złotych, dwadzieścia groszy.*

Te same trzy tomy Mickiewicza z rycinami z przedmową, oczywiście w tejsamej redakcji profesora Kridla, tyle tylko, że na papierze pośledniejszym nieco od bezdrzewnego i nie oprawne w płótno — ***kosztują cztery złote pięćdziesiąt.***

Jedna książka znakomitych pism z przedmową bystrego krytyka, w redakcji nader kompetentnej wypada po *dwa złote dwadzieścia pięć groszy.*

Cyfry te wymieniamy drukiem tłustym, uważamy bowiem że całe wydarzenie owego wydania Mickiewicza jest faktem nader doniosłym, poniekąd rewolucyjnym. Wydarzenie to, — rozkoszny skandal, jeżeli chodzi o stosunki dotąd w tej dziedzinie panujące, — wydarzenie to powinno mieć wpływ decydujący na rozpowszechnioną u nas politykę wydawniczą w odniesieniu do tak zwanych klasyków.

Cóż bowiem okazuje się z doświadczenia, które tak szczęśliwie przeprowadził dyrektor wydawnictwa Bibljoteki Literatury, dr. M. Grydzewski?

Okazuje się przedewszystkiem, że dotychczas wydawane dzieła klasyków są w stosunku do swego wyglądu nadmiernie drogie. Że wydawane są niesmacznie, obojętnie, bez gustu i bez wdzięku, że martwym swym układem raczej odstraszają czytelnika, niż nęcą.

Okazuje się, że mimo tych wad są bardzo drogie! Czyli, iż zarabia się na nich ponad miarę.

Okazuje się, — dalej, — iż obłożenie tego rodzaju wydawnictw małym procentem na t. zw. Skarb Narodowy Literatury byłoby ze wszech miar od dawna już wskazanem. Jeżeli bowiem Bibljoteka Arcydzieł Literatury za tak małe pieniądze może tak świetnie wydać Mickiewicza, — to ileż zarabia się, wydając tego Mickiewicza o tyle gorzej a zarazem drożej?

Tyle, — jeżeli chodzi o ekonomiczną sprawę wydawniczego dzieła, dokonanego tak świetnie przez Bibljotekę arcydzieł.

Jeżeli teraz przejdziemy do sprawy samego poety, z radością stwierdzić będziemy musieli, iż wydanie to odbija się nader korzystnie od innych.

Dlaczego i czem?

Poprostu wszystkiem, poczynając już od okładki. Okładka ta jest nowa, nie trąci żadną graalowską, monsaltowską i żadną wogóle myszką. Ta myszka ulubiona przez naszych profesorów, znienawidzona jest śmiertelnie nietylko przez młodzież, lecz także przez ogół czytający. Ta myszka robi od dawna tak wspaniałą antiromantyczną kontrpropagandę, że trudno zaiste pomyśleć o jakiejś innej, surowiej i bardziej celowo zorganizowanej.

Biorąc wydanie Mickiewicza przez Bibljotekę Arcydzieł Literatury — mamy wrażenie, że bierzemy do ręki *książkę do czytania*. Miłą dobrą książkę do czytania.

Utwierdza nas w tem przekonaniu przedmowa Boya-Żełejskiego, rozumna, ostrożna, jeżeli chodzi o zorganizowane gniewy uczonych w piśmie; pełna jednak najzdrowszego sensu.

Cóż mówi Boy, kończąc swą żywo i rozumnie napisaną przedmowę?

Pozwolimy sobie zacytować dosłownie propozycje Żeleńskiego, zdążające do odnowienia naszego stosunku do Wieszcza:

> Wezwać naszych społeczników, polityków, moralistów bakałarzy, aby, — taksamo, jak bolszewicy zwracają nam nasze skarby sztuki, — zwrócili bodaj na jakiś czas, Mickiewicza literaturze.
>
> Zburzyć wszystkie pomniki Mickiewicza, odlać z nich wielką armatę i nabić w nią pewną ilość jego komentatorów.
>
> Odełgać życie Mickiewicza, zbadać na nowo jego tajemnicę i zakamarki, nie pod kątem krzepienia serc i hipokryzji narodowej, ale pod kątem istotnej prawdy.
>
> Napisać na nowo ten wzruszający i patetyczny żywot, w którym poeta przez namiętności, upadki i mękę, błądząc, kajając się i błądząc w samemże swojem kajaniu, szedł do świętości.

Na odełganie tego rodzaju czeka u nas cała nasza romantyczna literatura chyba! Pierwszym może krokiem w tej dziedzinie było właśnie z racji wydania Mickiewicza, powierzenie wstępu „współczesnemu" krytykowi. Inicjatywa śmiała, jakże słuszna i owocna.

Czynniki szkolne, polonistyczne, ministerjalne, czynniki miarodajne, którym sprawa dawnej, wielkiej i współczesnej literatury, oraz kultury narodowej leży na sercu powinnyby dokładnie przyjrzeć się, uważnie przypatrzeć tej całej sprawie nowego wydania Mickiewicza. Równać młodą inicjatywę wydawniczą, inicjatywę pełną miłości tematu z poczynaniami uświęconemi dotychczas pieczęcią oficjalnej wyłączności. Porównać, — gdy mowa o przedmowie, — ton żywego człowieka z tonem surowych profesorów, — wreszcie wysnuć odpowiednie wnioski ekonomiczno-wydawnicze po zestawieniu kosztów i jakości typograficznej wydawnictwa Bibljoteki Arcydzieł z poprzedniemi poczynaniami wydawców „miarodajnych".

Juljusz Kaden-Bandrowski

OCKNIENIE

Dlaczego z naszych oczu noc wiekuistą zdarli?
Myśmy byli jak uśpiona krynica
Pod całunek księżyca,
A teraz jesteśmy umarli...

Myśmy byli jak planet wolnych wędrowne orszaki,
A teraz krzyże łopocą nad nami
Czarnemi ramionami
I naszą krwią tlą się złe znaki.

Ach, gdzież jest nasza potęga niewcielonego trwania?
Nasz płynny kształt wszechobecnego Boga?
Zapóźniona przestroga
Czas i nicość ze snu wyłania.

Dlaczegoście wasze usta do ust naszych przywarli?
Wyzionęliście z nas już dech wieczności
W tę krew, ciało i kości,
I oto jesteśmy umarli.

Niechaj w naszej powłoce pogrąży się kieł lemiesza
Iżby obrodzić mogła szmat błękitu —
Przez nicość do niebytu
Noc każda prowadzi i wskrzesza.

A tam już jeno zawieja szeleści w naszych kościołach,
A tam niebiosa huczą już pod nami,
I węszą korzeniami
Chwałę naszą na wysokościach.

Jan Brzechwa

DON KICHOT—KAPITULUM II Z KSIĘGI DRUGIEJ

O uciesznej rozmowie, jaka miała miejsce między Don Kichotem, Sanczo Pansą i bakałarzem, Samsonem Carasco.

Don Kichot*) czekając na Samsona Carasco pogrążył się w zadumę głęboką. Bakałarz miał mu przedstawić jego własną historję, tak, jak ją w księdze opi-

*) Nazwa Don Kiszot polega na nieporozumieniu. Po hiszpańsku pisze się Don Quijote, a ponieważ hiszpańskie j wymawia się jak ch, więc czas wreszcie skończyć z błędem, który od wieków zdobył sobie prawo obywatelstwa.

sano. Sławny nasz mąż nijak pojąć nie mógł, jakim sposobem zdołano już jego wielkie, rycerskie czyny na piśmie uwiecznić, skoro ostrze jego miecza nie obeschło jeszcze od krwi wrogów, na temten świat wyprawionych. Tem niemniej imaginował sobie, że jakiś jego przyjaciel, czy też nieprzyjaciel, uciekając się do sztuki czarnoksięskiej, księgę tę do druku oddał. Jeśli uczynił to jako przyjaciel, to ani chybi w celu przysporzenia mu splendoru i wywyższenia jego czynów ponad czyny wszystkich błędnych rycerzy. Jeśli zaś wróg tego dokonał, to jasne jest, że chciał jeno przez to jego zasługi pomniejszyć i sławne donkichotowe poczynania stawić pospołu z podłemi czynami jakiegoś giermka o najmizerniejszej kondycji. Zważywszy wszelako, że historja nie wspomina nigdy o czynach giermków i że skoro księga takowa już napisana została, tedy musi być księgą, o błędnym rycerzu traktującą, dziełem wspaniałem, prawdziwem, ze wszech miar uwielbienia godnem i o wielkich walorach — pocieszył się znacznie. Żywił tylko pewną urazę do autora, za to, że ów jest Maurem, jak o tem świadczy imię Cyd. Zasię od Maurów trudno jest prawdy oczekiwać. Maur co tchnie to łgnie, gębę ma jak kaleta, a język zjadliwy, jak u żmiji. Wszyscy oni to oczajdusze przechery.

Jął się tedy Don Kichot obawiać, że skryba ten mógł się nieprzystojnie o jego strzelistych afektach wyrazić i wysokie cnoty damy jego serca, nieporównanej Dulcynei z Toboso na osławę przywieść.

Może nazbyt grubo w księdze tej zaznaczył, jaki respekt żywił rycerz dla swej damy i jak dalece zawsze wierny jej pozostawał, gardząc względami królowych, królewien i młódek dworskich i chucie swe cielesne na wodzy trzymając.

Sanczo Pansa i Carasco zastali go pogrążonego w tych rozmyślaniach. Don Kichot z wielką dwornością przywitał się z bakałarzem. Bakałarz ów, aczkolwiek zwał się Samson, nie był zbyt wielkiej postury. Liczył sobie około dwudziestu czterech lat życia. Frant był z niego nad frantami, szelma kuta na cztery nogi. Pulchny był na obliczu, nos miał płaski i gębę od ucha do ucha, co zwykle znamionuje człeka o złośliwem przyrodzeniu i wielkiej do łgarstwa skłonności.

Chcąc się Don Kichotowi z dobrej strony przedstawić, padł na kolana i zaczął tą modłą:

„Wielki rycerzu, Don Kichocie z la Manczy, niech Wasza Wysokość złoży ręce na moje ramiona. Klnę się na moją duszę, że Wasza Dostojność jest jednym z najznakomitszych, błędnych rycerzy. Drugiego takiego na całym ziemskim globie nie masz! Niech Bóg sprzyja zacnemu Cydowi, Hametowi Ben Engeli, który historję czynów Waszych na jaśnię podał, niech także dobro wszelkie spłynie na tego, który tę księgę z arabskiego w kastylijski ubiór przemienił, tak, aby wszystkie narody roskoszować się nią mogły!

Don Kichot podniósł go z klęczek i rzekł: „Więc to prawda, że opisano moją historję i że autorem jej jest jakiś uczony Maur?

— Dałbym się porąbać na kawałki — odparł bakałarz, że do tej chwili puszczono już w świat dwanaście tysięcy woluminów tej historji. Biorę na świadka Lizbonę, Barcelonę i Walencję, gdzie ją drukowano. Chodzą także słuchy, że zaczęto ją drukować w Anvers. Co się mnie tyczy, to najmocniej wierzę, że wkrótce już nie będzie na świecie nacji, któraby tej księgi nie znała.

Największem ukontentowaniem — wtrącił Don Kichot — jest dla człowieka zasługi, gdy już za życia cieszyć się może dobrą reputacją i dobrem u ludzi imieniem i gdy jego czyny na piśmie potomności przekazują. Powiedziałem „dobrą reputacją", gdyż jeśliby miało być inaczej, jeno śmierć mogłaby kres odniesionemu despektowi położyć.

— O, jeśli chodzi o mir u ludzi i o cześć należną— rzekł bakałarz, — to Wasza Wysokość wszystkim błędnym rycerzom przodkuje. Autor, Maur w swym arabskim języku, a tłumacz chrześcijanin w języku kastylijskim wszędzie wystawiają Waszą Wielmożność w najświetniejszym blasku cnót i przymiotów i zgodnie pod niebiosy wynoszą odwagę Waszej Dostojności, mężne serce, które pośród największych niebezpieczeństw nigdy Wam w piersiach nie truchleje, cierpliwość, z jaką znosicie wszelakie przeciwieństwa, hartowność wobec fortuny niestatku, a nadewszystko szlachetności i skromności w tej waszej nadziemskiej miłości do pani don Dulcynei z Toboso.

— Ho, ho — zawołał Sanczo, nigdy nie słyszałem, aby seniora Dulcynea nosiła tytuł „don" na przodku nazwiska. Zwano ją zawsze tylko seniorą Dulcyneą i dziejopis grubego tutaj strzelił byka.

— Proszę powiedzieć mi, panie bakałarzu — przerwał Don Kichot — które też z mych czynów wysławiane są najbardziej?

— Co się tego tyczy — odrzekł bakałarz, to tak, jak gusta ludzkie są różnorakie, takoż i różnorakie są ludzkie sądy. Jedni delektują się przygodą z wiatrakami, które Wasza Dostojność wziąłeś za olbrzymów, drudzy pogromem dwóch wrogich armij, które, jak się później okazało, były dwoma stadami owiec, niektórzy zasię wysławiają awanturę z człekiem, niesionym na marach na segowański cmentarz. Nie brak i takich, którzy unoszą się nad wspaniałomyślnością serca Waszej Dostojności w tej przygodzie, gdy Wasza Dostojność zwróciłeś wolność więźniom, prowadzonym na galery. Jeszcze inni twierdzą zasię, że przygoda z benedyktyńskimi olbrzymami i mężnym Biskajczykiem pośród wszystkich przygód prym trzyma. Uczony arabski o niczem w swem dziele nie zapomniał, nawet o twojem fikaniu na prześcieradle, panie Sanczo.

— Daj to katu! — odparł Sanczo. Nie tyle na prześcieradle, ile w powietrzu koziołki wywracałem!

— Każda historja na świecie — zauważył Don Kichot ma swoje szczytne i niskie karty zwłaszcza zaś historja o dziejach rycerstwa traktująca, które to dzieje nie zawsze pełne są pomyślności.

— A mimo to — rzekł bakałarz, niektórzy czytelnicy tej księgi, mówią, że bardziej im by to było do smaku gdyby autor nie wyliczał tak skrupulatnie wszystkich kijów, któremi w rozlicznych okazjach Don Kichotowi skórę garbowano.

— Jeśli tak się rzecz miała w życiu, tedy i tak musi być w historji — wtrącił Sanczo.

— Lepiejby uczynił, gdyby się zbytnio nad tem nie szerzył — rzekł Don Kichot, jakże nie należy rozwodzić się nad zdarzeniami, które do treści samej historji nic nowego nie wnoszą, a posponują jeno i w złem ukazują świetle postać bohatera. Na honor! Wszak Eneasz nie

był wcale tak nabożny, jak go Wergiljusz maluje, ani Ulisses tak mądry, jak tego chce Homer.

— To prawda — odparł Carasco, ale inna to rzecz parać się pisaniem wierszy, a inna znów pisać historję. Poecie wolno przedstawiać rzeczy tak, jak mu się żywnie podoba, tymczasem dziejopis nie może chybić prawdy jedną jotą.

— Skoro więc — rzekł Sanczo — ten pan Maur samą jeno prawdę gada, tedy musi wspominać także, że wśród porcji kijów przeznaczonych dla mego pana, były także niezłe porcyjki dla mnie przeznaczone. Gdy pana tłukli po grzbiecie, to mnie od pięt do głowy grzmocili. Jednakoż nie dziwuję się temu, ponieważ, jak mówi pan, gdy głowa choruje, to całe ciało czuje.

— Filut z ciebie, mój Sanczo — rzekł Don Kichot, kiedy chcesz to cię pamięć nie zawodzi.

— Gdybym nawet pragnął zapomnieć — odparł giermek — nie pozwolą mi na to sińce i guzy, które jeszcze na grzbiecie noszę.

— Zamknij już gębę, przyjacielu Sanczo i nie przeszkadzaj panu bakałarzowi. Corychlej pragnąłbym się dowiedzieć, co tam o mnie więcej w tej księdze piszą?

— A ja to co? — przerwał Sanczo. Chyba sroce z pod ogona nie wyleciałem? Powiadają przecież, że jestem jedną ze znaczniejszych person w tej księdze.

— O personach, przyjacielu Sanczo, prawdę rzekłszy, nie słyszałem — odparł bakałarz, ale niech mnie Bóg pokarze, jeśli zełgałem, że jesteś drugim bohaterem w tej opowieści. Niektórzy czytelnicy wolą nawet z tobą przestawać, niż z twoim panem. Wychwalają cię za prostotę duszy i bezgraniczną ufność, jaką pokładasz w obietnicę swego pana, który przyrzekł, że ci odda wyspę we władanie.

— Kto karmi obietnicami, karmi nadzieją — przerwał Don Kichot. Kiedy Sanczo bardziej dojrzeje i nabierze tej eksperjencji, którą jeno lata dać mogą, stanie się zdatniejszy do sprawowania urzędu na wyspie.

— E, do kroćset, proszę pana! — rzekł Sanczo, jeżeli teraz, licząc sobie tyle lat, ile liczę, nie umiałbym rządzić wyspą, tem bardziej dobrze nią rządzić nie będę w Matuzalemowym wieku. W tem jednak sęk, że ta przeklęta wyspa ukryła się nie wiedzieć gdzie!

— Poleć tę sprawę Bogu, przyjacielu Sanczo! Wie Pan Bóg z nieba, czego komu trzeba! Wszystko pójdzie dobrze, lepiej nawet, niż myślisz. Na błogosławieństwie bożem wszystko zależy!

— Racja! Gdy Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści. Gdy taka będzie boska wola Sanczo otrzyma sto wysp, nie jedną — potwierdził Carasco.

— Widziałem już takich gubernatorów od siedmiu boleści — rzekł Sanczo, którzy niegodni są rzemyka u mego obuwia zawiązać, a wszakoż, rządzą się, jak szare gęsi, na srebrnych półmiskach jadają i jaśnie państwem się zowią.

— Nie są to gubernatorzy wysp — przerwał Samson, gdyż ci ostatni powinni się przynajmniej znać na gramatyce.

— Co do grama, to ani w ząb tego słowa nie rozumime, znam się jeno na tyce, która groch na polu podpiera. Poruszając tedy Bogu sprawę tej wyspy, rzekę Wam, panie Carasco, że jestem głęboko ukontentowany, albowiem ów pan autor niczem mi nie uchybił. Gdyby jednak ten poganin ośmielił się napisać coś nieprzystojnego o mnie, prawym chrześcijaninie, podniósłbym taką wrzawę, że nawet głusi jak pień, by usłyszeli.

— Tedy byś cudu dokazał — odparł Samson.

— Cudu, czy nie cudu — rzecze Sanczo, to już nic do rzeczy niema, a o to mi tylko chodzi, aby każdy pilnował swego, a poniechał cudzego. Zasię, gdy pisze o innych, niech nie plecie trzy po trzy, ani ze swem widzimisię na harce nie wyjażdża.

— Jednym z ważniejszych w tej historji niedostatków, jest to, że autor ni stąd, ni z owąd wprowadził do niej opowieść o pewnym niezbytym natrętniku. Po prawdzie nie jest ona nudna, ani źle napisana, ale co tu za wspólność z dziejami Don Kichota?

— Poszedłbym w zakład o sto, że ten hultaj pomieszał tam wszystko, niby groch z kapustą — zauważył Sanczo.

— Widzę teraz jasno — rzekł Don Kichot, że autor tej historji nie jest człekiem zbytnio rozumem obdarzonym. Poznać mędrca po słowie! Ów nieuk i gryzipiórek zdaje się ślepo na los przypadku, pisząc bez ładu i składu. Podobnie paćkał na płótnie malarz Ubeda, który, gdy go się pytano, co maluje, odpowiadał: „Będzie co Bóg da". Raz namalował koguta tak udatnie, że u dołu obrazu napisać było trzeba gotyckiemi literami: „To jest kogut". Obawiam się, że tak będzie i z moją historją, której nikt nie zrozumie.

— Nic podobnego! — odparł Samson. Historja ta jest jasna, jak słońce na niebie i żadnych trudności w niej niemasz. Dzieci ją nawet czytają, dorośli smakują w niej, a starcy ją chwalą. Dostępna jest dla wszystkich i wszyscy ją do tego stopnia znają, że, gdy ktoś zobaczy wychudzoną szkapę, zaraz mówi: „Oto Rossynant". Najchciwiej zaś wczytują się w tę księgę paziowie.

W antyszambrach każdego karmazyna znaleźć można dzieło o Don Kichocie. Gdy je jedni na stronę po przeczytaniu odłożą, wnet je drudzy łapią. Nie dziwota, niema bowiem na świecie równie przedniej książki. Czytanie jej jest godziwą rozrywką, jakoż trudno w niej znaleźć choćby jedno, jedyne plugawe słowo.

— Spodziewam się — rzecze Don Kichot, — gdyby się bowiem ów Maur inaczej pisać ośmielił, byłoby to łgarstwo, a nie prawda, zaś dziejopise, łgarstwem się plamiący, zasługują na stos, równie jak i fałszerze monet. Nie wiem tylko, co temu autorowi do łba strzeliło, że do historji o mnie dodał jeszcze jakieś bzdury, żadnego związku z tokiem opowieści nie mające. Winien był trzymać swą imaginację na wodzy i baczyć, co mówi przysłowie: „kto się z plewami zmiesza, tego świnie zjedzą". Gdyby się zadowolił opisaniem samych mych myśli, pragnień, zamysłów, łez przelanych i lubych westchnień jużby miał materję na cały wolumin, wolumin tak wielki, jak wszystkie dzieła Tostada**) razem wzięte. Z tego wszystkiego zakonkludować muszę, panie bakałarzu, że ten, kto chce historje składać, lub książki pisać, musi być człowiekiem umysłu bystrego i rozumienie na rzeczach mającym.

**) Tostado — pseudonim pisarza don Alonso de Madrigal, biskupa z Avila, który żył za czasów panowania Juana III Kastylijskiego i wsławił się nieprawdopodobną produkcyjnością literacką.

Historja jest rzeczą świętą, ponieważ na prawdzie wspierać się winna, a gdzie prawda, tam i Bóg, który sam jest prawdą. Mimo to zdarzają się ludzie, którzy piszą i ogłaszają drukiem książki, tak jakby orzech zgryzł!

— Niema takiej złej książki, w którejby się coś dobrego nie znalazło — odparł bakałarz.

— Nie wątpię — przerwał Don Kichot, ale nieraz i tak bywa, że ludzie, którzy zdobyli swemi pismami wielki mir i sławę, tracili ją lub na szwank narażali, księgi te do druku oddając.

— Przyczyna leży w tem, że w dziełach wydrukowanych wszelkie błędy i uchybienia bardziej się w oczy rzucają, a im za znakomitszego pisarza ich autor uchodzi, tym surowszym podlega krytykom.

Ludzie, którzy zdobyli sobie sławę dzięki swemu genjuszowi: wielcy poeci, filozofowie i dziejopise, są solą w oku tym, którzy dwóch zdań do kupy składnie złożyć nie umieją, a zajmują się jeno wyszukiwaniem dziur na całem i ganieniem cudzej pracy.

— Nie można się temu zbytnio dziwić — odparł Don Kichot. Zdarzają się wszak teologowie, którzy stając na kazalnicy, języka w gębie zapominają — natomiast w cudzych kazaniach najmniejszy błąd dostrzegą.

— To prawda, dostojny panie — rzekł Carasco — tem nie mniej pragnąłbym, aby panowie krytycy byli mniej skrupulatni i pamiętali o tem, że...

...Aliguando bonus dormitat Homerus.

..to przecież niejedną noc on preślęczał, aby swój utwór do końca doprowadzić, ze wszystkich sił starając się, aby ta praca jaknajlepiej wypadła. Plamy są i na słońcu. Zaś małe znamię na urodziwem obliczu jeszcze jego powab szczególny podnosi. Ten, kto chce swe dzieło drukiem ogłosić, na wielkie się wystawia pericula. Niemożliwą jest bowiem rzeczą wszystkich czytelników zadowolić.

— Książka, która o moich czynach traktuje, niewielu pewnie ludziom do smaku przypadła?

— Przeciwnie, dostojny panie — odparł bakałarz, jakoże „Stultorum infinitus est numerus" tedy mnóstwo ludzi ją sobie upodobało. Niektórzy wytykają jeno autorowi krótką pamięć, czy też złośliwość. Nie mówi nam wcale na ten przykład, kto Sanczowi osła ukradł, wspomina o tem jeno od niechcenia, a później znów prezentuje nam Sancza, siedzącego na tym samym ośle. Także zapomniał nam powiedzieć, co uczynił Sanczo ze stoma talarami, które znalazł w tłomoku Kardenia w Sierra Morena. Wielu czytelników chciałoby się dowiedzieć, na co giermek ten grosz obrócił? Oto największe usterki w tem dziele!

Sanczo, wysłuchawszy pilnie słów bakałarza, rzekł: „Mości bakałarzu! Nie mam teraz humoru, aby zajmować się opowiastkami i rachunkami. Kiszki mi marsza grają i to tak potężnie, że jeśli jakimś kęsem brzucha nie zospokoję, głód mnie z nóg zwali. Zajdę do chałupy, gdzie na mnie czeka gospodyni. A jakoże, gdy kto brzuch naładuje, językiem rad szermuje, tedy powrócę tutaj po obiadku i rad wam opowiem w jaki sposób odzyskałem osła i co ze stoma talarami uczyniłem. I Sanczo obrócił się na pięcie i znikł. Don Kichot zaprosił Carasca do stołu. Podano na obiad prócz innych potraw jeszcze i parę pieczonych gołąbków, a podczas posiłku Carasco, chcąc się gospodarzowi przypodobać, rozprawiał o błędnem rycerstwie.

Po obiedzie ucięli sobie drzemkę. Obudził ich Sanczo i rozmowa potoczyła się dalej...

Przełożył z hiszpańskiego
Edward Boyé.

NA MARGINESIE

Nowe Pismo tygodniowe pod redakcją W. Grubińskiego p. t. *Echo Tygodnia*, jak sądzić można z pierwszych numerów, prowadzone będzie bardzo żywo i aktualnie, tak w zakresie literatury, jak też w zakresie spraw dyplomatycznych, omawianych na łamach pisma nie w formie długich wstępnych artykułów, lecz w sposób bardziej żywy, nowelistyczny, czy zbeletryzowany.

Część literacka daje rozległy przegląd piór, od Rzymowskiego zaczynając, kończąc na H. Zbierzchowskim, który nadsyła ciekawe korespondencje ze Lwowa.

Echo Literackie rozpisało pomiędzy pisarzami ciekawą ankietę na temat wpływu krytyki i krytyków na danego autora. Ankieta, — o ile pisarze obeślą ją, jak powinni, t. zn. nie ograniczając się do zdawkowego „tak", lub „nie", lecz poświęcają zagadnieniu więcej miejsca i namysłu, — może stać się ciekawym przyczynkiem do tak niewyrównanych jeszcze u nas stosunków pomiędzy krytyką literacką a „tworzącymi" pisarzami.

Grubiński, łącząc w swem piśmie literaturę z dyplomacją ma zadanie bardzo trudne. Z dotychczasowych numerów można wnosić, że zadaniu swemu sprosta, oddając tak, jak to czyni obecnie, część dyplomatyczną autorom, którzy sprawy dyplomatyczne traktują z kulturalno-obyczajowem pogłębieniem.

***

Grupa poetycka „Meteor" wydała pod tym tytułem swe czasopismo poetyckie za grudzień. Treść wypełniają wiersze G. Timofiejewa, M. Piechala, R. Kołonieckiego, M. Elin, K. Sowińskiego, S. Flukowskiego i S. Karpińskiego. Prozę krytyczną reprezentuje w trzecim numerze Meteora W. Bieńkowski i L. Korzeniowski.

Z kroniki Meteora dowiadujemy się, że Meteor wypełnia dodatki literackie Głosu Polskiego w Łodzi, że grupa ta współpracuje w Głosie Literackim, że wreszcie Piechal i Kołoniecki wydadzą utwory swe niebawem w Warszawie u Hoesicka.

***

F. A. Ossendowskiego. Pod Polską Banderą, oraz „Wańko z Lisowa", które ukazały się przed kilku tygodniami na naszych półkach księgarskich przekładane już są na języki obce. Ostatnia przypowieść tegoż autora napisana specjalnie dla dzieci o Małpce Kasi przywiezionej do Polski, zyskała sobie wielkie uznanie za granicą i tłomaczona jest obecnie na języki francuski, niemiecki, duński, angielski i szwedzki.

***

Na zjeździe kierowników wszystkich radjostacyj polskich powzięto plan wykorzystania audycyj literackich nadawanych przed mikrofonem jednej stacji przez wszystkie stacje, a to zapomocą nadawania wszystkim stacjom jednej i tejsamej audycji literackiej.

Liczba słuchaczy pomnaża się w ten sposób wielokrotnie, co zwiększa oczywiście w wydatnym stopniu rozpowszechnienie danego utworu. Wspominaliśmy na tem miejscu o olbrzymiej sile propogandy jaką radjo mogłoby prowadzić na rzecz polskiej książki. W swoim czasie miały zająć się tą propagandą nasze stowarzyszenia literackie. Niestety, — tak długo uzgadniały pomiędzy sobą stanowiska, że w końcu utraciły właściwy wpływ w tej kwestji i w żadnym sensie do pracy radjostacyj dziś się nie przyczyniają.

***

Zofji Nałkowskiej. „Niedobra Miłość" ukazała się w ostatnich dniach w handlu księgarskim wydana przez Gebethnera i Wolffa. Książce tej poświęcimy niebawem obszerniejsze sprawozdanie, już dziś stwierdzając, że ostatnia powieść Z. Nałkowskiej posiada w najczystszym stopniu wielkie, prozatorskie walory tej autorki, — zwięzłość i jasność opisu, tok akcji budowany dyskretnie, pewną, świadomą ręką, galerję typów ludzkich, modelowanych z głębokiem odczuciem prawdy psychologicznej.

Zofja Nałkowska w początku przyszłego roku wydaje jeszcze jeden tom prozy t. j. Opowiadania Więzienne", z których drukowane w prasie literackiej wyjątki każą oczekiwać pracy wysokiej artystycznie i pełnej znaczenia społecznego.

***

„Świat Książki" czasopismo zagadnieniom czytelnictwa, krytyki, miłośnictwa zdobnictwa, oraz grafiki polskiej poświęcone pod redakcją Mortkowicza ukazało się w grudniu za trzy miesiące naraz. Współpracują w tem piśmie H. Radliński, J. Muszkowski, W. Rzymowski, St. Posner, M. Treter i w. in.

Słowo wstępne pomieszczone na czele wydawnictwa w terminach uroczystych, lecz dość ogólnikowych wzywa do opieki nad książką do jej rozpowszechnienia. „Naród i literatura — to jedno, a literatura — to książka". Oczywiście. Sprawy te zwłaszcza w ostatnich latach zostały już bardziej szczegółowo określone. Organ p. Mortkowicza nie zajmuje jeszcze stanowiska w dziedzinie poszczególnych bolączek, triumfów, czy niedomagań naszego ruchu książkowego. Daje raczej przegląd dziesięcioletni poezji, powieści i t. p.

Nowemu wydawnictwu życzyć należy powodzenia i trwałości. Zwłaszcza tej ostatniej. Prasa literacka nasza poświęcona książce jest tak uboga, wydawcy nasi w tym właśnie kierunku tak opieszali!

jkb.

DYKTATURA NIEKOMPETENCJI

Czyjego serca nie ucieszyło „Węsele na Kurpiach"? Kogo, kochającego język ojczysty, nie zaskoczyły radośnie te „wypyty", „rajby", „rozpleciny". „oczepiny", „ziunecki", „jegodziny" itd.? I kto oparł się refleksjom smutnym, że przecież ks. Władysław Skierkowski zdołał ocalić przed zapomnieniem tylko drobną część tego bogactwa, które lud gromadził w ciągu wieków, że reszta przepadła, albo przepada niezauważona, niedoceniona. Polska oświecona do szesnastego wieku włącznie mówiła i pisała po łacinie, w wieku siedemnastym wróciła skwapliwie do żargonu mazowiecko - łacińskiego i dopiero względnie niedawno genjusz poezji polskiej naoścież otworzył dusze i serca dla piękna tej mowy, która w duszy ludu się zrodziła. Dlatego mowa ludowa jest o tyle bogatsza od języka literackiego. Jeszcze dzisiaj lud polski po wsiach zapadłych, po ustroniach, którym nie grozi fatalny wpływ półkultury miasta, mówi językiem, który tai w sobie olbrzymie skarby nieprzeczuwanych wzruszeń. Tym językiem piosenka ludowa wyraża sprawy i uczucia, jakich język literacki wyrazić nie zdoła. Jest to inny świat rozumienia, odczuwania, myślenia. Jako młody chłopak zbierałem lokucje ludowe dla niezapomnianego Jana Karłowicza, i to zainteresowanie wczesnych lat życia daje mi miarę, jak wiele przepadło bezpowrotnie dla mowy polskiej.

Bo dzieje się rzecz taka. W wieku szesnastym twórca polski brał materjał językowy ze źródła, z ust ludu polskiego. Potem przyszły wpływy obce. „Pańskość" konwersacji salonów francuskich przesłoniła „chamskość" polskiej mowy ludowej. Klasycyzm widział ideał w redukowaniu języka polskiego do pewnej ilości zwrotów i słów, które mogłyby się już zawsze ostać przed zwierciadłem poprawności i wytworności salonowej. Zapomniano, że życie to nie salon. Rezultat tych grubych nieporozumień i niezrozumień wyraził się w naszych czasach w pewnych liczbach. „Słownik wyrazów, wyrażeń, zwrotów i przysłów cudzoziemskich używany w mowie potocznej i w prasie perjodycznej polskiej", liczył tych słów obcych dwanaście tysięcy w roku 1900. W wydaniu siódmem z roku 1921 jest tych wyrazów obcych okrągłe dwadzieścia i pięć tysięcy, a w wydaniu z roku bieżącego jest ich trzydzieści jeden tysiąc. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że ośmiotomowy „Słownik języka polskiego", owoc benedyktyńskiej pracy Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwiedzkiego, liczy mniej więcej 150.000 wyrazów, to ogarnie nas przerażenie, że aż w takim stopniu jesteśmy językowo skosmopolityzowani. Nie rusyfikuje przecie Moskal, nie germanizuje Prusak, ale my sami z dobrej, nieprzymuszonej woli redukujemy własny język i makaronizujemy go w sposób niesłychany.

Czynimy to pod białym terrorem wszechkompetencji, to znaczy kompetencji anarchicznej, najgorszej postaci niekompetencji, dufnej, pewnej siebie, zarozumiałej. Każdy z nas zna kilka, kikanaście, czy kilkadziesiąt lokucyj pod generalnym nagłówkiem: „Tak się nie mówi". Każdy zna swoje, i gdyby jakaś książka przeszła przez kilka rąk takich purystów, a każdy skreślił w niej to, co zdaniem jego należy do rubryki: „Tak się nie mówi", to pozostałoby może sto zwrotów zupełnie poprawnych. Język polski byłby wówczas zredukowany do takiej poprawności, że wszystkie kumoszki sochaczewskie, czy kiernoziańskie wyuczyłyby się tej poprawności bardzo szybko i konwersacja byłaby klasycznie czysta i odpowiednio mądra i głęboka.

Zachęcony przez Karłowicza, zwracałem bacznie uwagę na każdy nowy twór słowniczy i cieszyłem się, gdy nadarzała się sposobność do użycia go i upowszech-

niania. Zdarzyło mi się naprzykład, że pisałem jakieś studjum religjoznawcze i szukałem polskiego odpowiednika dla „glossolalij" apostoła Pawła, i raptem spotkałem się z bardzo trafnem, wspaniałem wyrażeniem „wygłos" w „Oziminie" Wacława Berenta. Chodziło mu o nazwę dla tego odcienia mowy ludzkiej, który dla ucha nie jest ani czystym dźwiękiem głoski, ani artykułowanem słowem, ale tem czemś pośredniem, co szczególniej w tłumie rozmiawających ludzi wylata ponad wrzawę jako niedosłowione. Prześliczne polskie słowo: wygłos! Komentarza nie potrzebuje, bo samo się wygłasza i ogłasza odczuciu języka. Rzecz prosta, że skwapliwie zanotował je Słownik. Za to słowo dostało mi się sporo ironicznych uwag od jednego z redaktorów, który prócz niego zakwestjonował takie słowa: karta trumfowa (w mowie ludu kozera), odszkodować się za coś, przyrównanie, pożercy (tacy, co pożerają), niemożliwym w sensie: skompromitowany), szynkfas, zaścielić łóżko (Fredro, Kaden-Bandrowski!). Obaj ci pisarze zdali sobie sprawę z tego, że zwrot „zasłane" jest dwuznaczny, bo można np. powiedzieć sumarycznie: pozdrowienia i łóżka zasłane, (bekać po obiedzie z przejedzenia, niegdysiejszy) twór Boya: Ach, gdzież są niegdysiejsze śniegi! Zbudowane najprawidłowiej: dziś dzisiejszy, niegdyż-niegdysiejszy, (dożywociarz) człowiek na dożywociu, dożywotnik, spersyflowany jak np. robociarz, (wiska), szukać wszów), pokropek), pokropienie trumny ze zwłokami), porzygać wszystko, ferbel) gra w karty) i t. d.

Cóż to znaczy? Oto że wszyscy jesteśmy stale pod terrorem niekompetencji, a ponieważ sprawa czystości języka jest coraz aktualniejsza, załatwia się te rzeczy tak mniej więcej: *Ja* nie znam, a więc błąd językowy! W mowie potocznej mamy 31.000 wyrazów i zwrotów obcych, a jednocześnie z lekkiem sercem i wielką pewnością siebie wyrzuca się kikanaście najczystszych i pięknych wyrazów polskich, zapisanych przez Słownik języka polskiego! Jest to objawem niedwuznacznym, że z tego wspaniałego skarbu, jakim jest Słownik Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwiedzkiego, nie korzystają ci właśnie, którzy powinni mieć go bezustannie pod ręką i nie rozstawać się z nim nigdy.

Przed paru miesiącami przy pewnej okazji Karol Irzykowski pisał do mnie o niedostatecznym kontakcie piszących z filologami. Zdawało mi się, że przesadzał, ale życie pouczyło mnie, że miał rację. Nie wyraził nawet wszystkiego. Bo język jest dla piszącego narzędziem ekspresji daleko subtelniejszem i bardziej złożonem od głosu śpiewaka i instrumentu witruoza. Niema cudownych dzieci w poezji i w filozofji, jakie zdarzają się w muzyce i śpiewie. Tutaj sztuka opiera się na dokładnej wiedzy. Nie możemy sobie wyobrazić, aby wielki wirtuoz tygodniami nie zasiadał do fortepianu, albo nie brał skrzypiec do ręki, aby śpiewak nie ćwiczył się dzień w dzień. Czyż możemy uważać za logiczne, że pisarz trzyma się zdala od gramatyki, gdy ta gramatyka, jak to jest u nas w Polsce przy dzisiejszym stanie języka, tak szybko się starzeje? Filologowie czerpią z pisarzy pełnemi rękoma i umieją się cieszyć z każdego nowego słowa lub zwrotu polskiego. Dlaczego pisarz nie miałby interesować się filologiem tak samo, jak filolog interesuje się nim? Taka naprzykład „Gramatyka Polska" Jana Łosia, wydana we Lwowie przez Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich (1922 — 1927) to lektura dla człowieka myślącego wyjątkowo ciekawa. Znakomity językoznawca dokonywa subtelnych, interesujących rozbiorów mowy polskiej na pierwiastki, z poza których wyłania się zawiły i delikatny mechanizm żywego języka. Przed paru laty Erazm Majewski w swojej „Nauce o cywilizacji" bardzo wymownie wykazał, że bez mowy nie byłoby cywilizacji, a skąd inąd wiadomo przecie, że w świadomości zbiorowej istnieje tylko to, co istnieje w żywym języku. Rację ma Irzykowski, że sama praktyka literacka nie może dać tego, co daje dokładna wiedza filologiczna.

Niestety, wydając trzeci tom swej świetnej „Gramatyki historycznej", skarży się Jan Łoś, że praca jego „ukazuje się w dobie, najmniej sprzyjającej wydawaniu dzieł naukowych źródłowych, które wśród naszego społeczeństwa pokupu nie znajdują". I dodaje słowo zasłużonego uznania, iż Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich wydał trzy pierwsze części tego niepokupnego dzieła i wyda także część czwartą i ostatnią, obejmującą składnię historyczną języka polskiego. Dla pisarza kontakt z przeszłością języka jest jednym z najważniejszych środków kontaktu z przyszłością. Profesor Łoś tłumaczy obojętność ogółu dla takich cennych prac zubożeniem inteligencji, ale obok zubożenia jest jeszcze obojętność. Wydajemy przecie dość dużo na zagraniczne i krajowe likiery, na perfumy i jedwabne pończochy. Gdyby udało się przełamać obojętność ogółu dla tych spraw ważnych, to środki znalazłyby się z pewnością, a zysk byłby duży. Przy sposobności narzuca mi się pytanie, ilu też z pośród naszych poetów zagląda do kapitalnego dzieła Łosia „Wiersze polskie w ich dziejowym rozwoju"? Materjał olbrzymi, a studjowanie go to jedna wielka uciecha.

Jesteśmy romantykami, to znaczy ludźmi sentymentu niezracjonalizowanego. Wydaje nam się, że artysta to mag, który spada z nieba gotowiuteńki i wszystko, co ma do powiedzenia, czy zrobienia, to wytrząsa z rękawa w stanie doskonałym. Dzisiaj już dla nikogo nie jest sekretem, że wszystko, co się robi dobrze, robi się powoli. Wiersze Heinego, które wywierają wrażenie czegoś rzuconego jakby od niechcenia, to owoc pracy bardzo żmudnej i wytrwałej. Heine dopiero wówczas uważał wiersz za doskonały, gdy stawał się on pod każdym względem naturalnym i wolnym od wszelkiego przymusu formy zewnętrznej. O znakomitych prozaikach wiadomo, że przerabiali swoje rzeczy po kilka razy, zanim osiągnęli formę, która ich wreszcie zadowalniała. Nawet taki magnat słowa jak Goethe, który miewał wyjątkowe chwile tego, co nazywamy natchnieniem, pracował starannie nad formą. Dla czytelnika, który rozkoszuje się dziełem poetyckiem, miarą wartości jest głębia i siła wzruszenia, jego bogactwo i wielokształtność, nie zaś to, czy dane działo jest improwizacją, czy też owocem wysiłku i wytrwałości.

Dzisiaj daje się zauważyś wielkie zubożenie form i słownictwa w utworach pisarzy młodszych i nawet starszych. Rozrasta się publicystyka, którą możnaby nazwać errorystyczną. Każdy dostrzega błędy, usterki, uchybienia, barbaryzmy wszędzie tam, gdzie dawniej nawet mowy o nich nie było. Powstaje specjalna neurastenja pisarska: errorofobja: strach przed błędami. Wyjście znajduje się tu w wyrzucaniu z języka wszystkiego, czego się nie zna. Zacieśnia się pole ekspresywności języka dla błogiego poczucia, że w ten sposób uni-

knie się błędów, na które czyhają powołani i niepowołani puryfikatorzy. Oczywiście, że to nie jest wyjście właściwe z ciężkiej sytuacji. Trzeba się uczyć, to znaczy nawiązać ściślejszy kontakt z wiedzą filologiczną, od której, chwała Bogu, można dużo otrzymać.

Nigdy nie rozumiałem usiłowań Kadena - Bandrowskiego tak dobrze, jak obecnie. Lepiej od kogokolwiek zdaje on sobie u nas sprawę, że literatura bogata co do treści i szaty zewnętrznej nie może być wytworem pauperyzmu literackiego. Człowiek zarobkujący w ciężkich warunkach, pozbawiony subtelnego aparatu swego artystycznego rzemiosła, nie może wytworzyć rzeczy doskonałych. Istotnie, aż dziwić się trzeba, że polskie „księgi ubogich" jaśnieją takim przepychem myśli i formy, chociaż tworzone są zazwyczaj w chwilach wolnych od zajęć zarobkowych. W Niemczech znani i uznani pisarze miewają swoich przybocznych gramatykarzy i stylistów, którzy otrzymują stałe pensje za wyławianie błędów i usterek, czyli za to, co u nas robi con amore specyficznie polska i literacko - koleżeńska *schadenfreude*. Wielkie firmy wydawnicze oddają wszystkie rękopisy przeznaczone do druku specjalnym korektorom, uważając, że jest to rzeczą bardzo ludzką zrobić błąd. Robią błędy lekarze, adwokaci, sędziowie, kaznodzieje, urzędnicy, dyplomaci, i to błędy, wobec których błąd literata jest drobiazgiem i głupstwem, ale — błąd dyplomaty, chociaż prowadzi nieraz do wojny, niekoniecznie musi być zapisany, błąd lekarza zakopuje się w ziemi, błąd adwokata pakują do kryminału, a błąd kaznodziei stwarza herezje, natomiast błąd literata paraduje jak byk czarne na białem i cieszy pewien typ ludzi, którzy pojęcia nie mają, co to jest praca literacka w Polsce.

Przy sposobności warto poruszyć jeszcze jedną sprawę. Mówi się dużo o tem, że książka polska nie rozchodzi się w takich ilościach egzemplarzy, jakichby sobie życzyć należało. Z doświadczenia każdy wie, jak sugestjonuje krytyka. Ironiczna uwaga, lekceważący gest zjadliwe słowo ze strony krytyka, i po książce. Nie brało się jakiejś książki do ręki, bo została „załatwiona" przez krytyka, a potem, przy jakiejś tam sposobności, spostrzegało się, że krytyk w stosunku do krytykowanego był jakiemś leniwem, gnuśnem i piramidalnem nieporozumieniem. Do zrozumiennia i oceny autora nie dorastał, złośliwości wnosił do krytyki na sześć osób.

Jest specjalna polsko - literacka uciecha, wyrażająca się w słowach: A to go schlastał! Oczywiście, świetny krytyk, skoro tak chlaszcze. Ale, na miły Bóg, który z nas, gdyby mógł stworzyć świat, nie stworzyłby go inaczej, niż to uczynił Pan Bóg? Rzecz prosta, że stworzyłby lepiej. Znałem wybitnego krytyka, który nie chciał pisywać o rzeczach, które go nie porywały i nie zapalały. „Katowskie rzemiosło jest zawsze paskudne" — mawiał. A na pytanie, co robić z lichotą i grafomaństwem, odpowiadał: — „Zostawić to pół — i ćwierć — inteligencji i nie mówić o tem w dobrem towarzystwie". — Był to może sposób zbyt jednostronny, ale daleko lepszy od tej generalnej nieżyczliwości, z jaką krytyk przystępuje nieraz do swojej ofiary, zrażając do niej czytelnika. Do Mniszkówien i Staśków żadna krytyka nigdy nie zrazi tej publiczności, która się nimi zachwyca, zaś w stosunku do pisarzy - artystów zbyt sumaryczna krytyka, słowo zjadliwe, stylistyczne wzruszenia ramion, stają się jednym z tych ponderabiliów, które książce polskiej zamykają drogę w świat.

Śród trudności, jakich prócz Polski nie zna bodaj literatura żadnego innego kraju, trudności natury gospodarczej i skutków indyferentyzmu kulturalnego, pojawia się nowa postać trudności: dyktatura niekompetencji. Dezorjentuje ona, bo sama jest zdezorjentowana. Walka z nią w pojedynkę jest ciężką i kosztowna. Wyjaśnianie każdorazowe rzeczy elementarnych zabiera dużo czasu i energji, których można i należy używać produkcyjniej, niż na wykłady ad personam. Takie sprawy muszą stać się przedmiotem trosk instytucji specjalnej. Jej powstanie jest sprawą naglącą. Twórcy i myśliciele muszą być zabezpieczeni przed coraz częstszemi atakami niekompetencji, która wyrzuca poza nawias polszczyzny wszystko, co jej nie jest znane, powiększając zarazem coraz bardziej „słownik wyrazów obcych używanych w mowie polskiej".

Paweł Hulka - Laskowski.

ODPOWIEDZI

W. Szep. W-wa: Umieścilibyśmy,—cóż kiedy wiersz niedobry! Z wiersza pańskiego nic nie wynika: Ani myśl, ani obraz, ani nastrój, — wogóle nic. Po cóż takie rzeczy drukować? Radzilibyśmy — zaniechać pracy literackiej.

Zyg. Pop. W-wa: Badania pańskie są słuszne. Możnaby wiele zarzucić pisarzom, wydawcom, instytucjom itd. Sądzimy jednak, że i t. zw. publiczność nie jest bez zarzutu o ile chodzi o t. zw. popieranie polskiej książki. Czy zna Pan wiele domów, w których tak, jak szczycą się kolekcjami nalewek, czy marek pocztowych, szczyconoby się półkami na książki i porządnie oprawnemi książkami? Zapewne — nie! Nie pamięta się jeszcze u nas, że książka należy do takiego samego (przynajmniej!?!) uprzyjemnienia życia, co czekoladki, kino itd. Jakże zmienić ten opieszały stosunek na żywy? Dokonać tego można tylko pracą. Pracę wielką podejmują zawsze początkowo nieliczni ludzie, których liczba pomnaża się potem z roku na rok. Życzymy Panu, by był jednym z tych pierwszych nielicznych.

Ruda Pabjanicka: Nie ma Pan słuszności. W książce tej są poważniejsze błędy, niż te, które Pan zauważył. Powiedziano tam między innymi, że gen. Puchalski ówczesny „wódz" w c. k. Komendzie Legionów był twórcą Rady Pułkowników. Przy ocenie jednak braliśmy pod uwagę popularność książki połączoną umiejętnie z dużym materjałem ilustracyjnym. Wreszcie intencje propagandy. Mógłby nam Pan powiedzieć, że bez względu na wydawnicawo obowiązuje zawsze czysty polski język. To racja. Dużo jednak minie jeszcze czasu, nim uzyskamy w naszych wydawnictwach popularnych właściwą klasę języka. Cóż więc robić?

Ludwik Fr. Wzory otrzymaliśmy nie rozumiemy jednak, co Pan chece, byśmy z niemi uczynili? Drukować tego przecież niepodobna!

Andrzej Kukulski, — dzielny bohater opowiadania był niewątpliwie warjatem. Nie pisze Pan dlaczego zwarjował, — tylko poprostu przedstawia Pan warjata. Jak każde warjactwo tak i Kukulskiego — jest dowolne, nie znamy bowiem tych niewiadomych syntez, na mocy których tworzy się wizja warjackiego myślenia. Może więc pański Kukulski jest tworem genjalnym? Może lichym fabrykatem? Nie umiemy ocenić.

REDAKTOR I WYDAWCA: *WOJCIECH STPICZYŃSKI*

Drukarnia Artystyczna, N.-Świat 47. Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.